październik 2013 nr 9 vol 1

egzemplarz bezpłatny

PRYZMAT

bialski miesięcznik społeczno–kulturalny

Marta Książak

Joanna „Soul" Wołoczko

SKO – nauka oszczędzania

Rekord Guinnessa na bialskim lotnisku

Pryzmat ISSN 2300-018X

fotografia – dawniej i dziś
Bialskie Publiczne Gimnazjum nr 3 4

ludzie
Teraz czuję że żyję – Marta Książak 8
Zwierzę sceniczne – Joanna „Soul" Wołoczko 12

pieniądze
Grosz do grosza zbierał co dnia, SKO... 16

społeczeństwo
Dzieci autystyczne 18

historia
Radziwiłłowie byliby zachwyceni 22

miasto
Bohaterowie bialskich ulic 23

kultura
Czas na nowe życie –Irek Wagner 24

miszmasz Edyty Tyszkiewicz
Przygody na polowaniu – felieton 27
Magia miłości – recenzja książki 27

kultura
Narodowe czytanie – Aleksander Fredro 28

moda i biznes
Jesienne dni 30

sport
Rekord Guinnessa na bialskim lotnisku 32
Gwiazdy królowej sportu w Białej Podlaskiej 33

świat od kuchni
Herbata z bąbelkami 34

ciało i duch
W zawieszeniu – trening z TRX 35

młodzież
Kreska z migawką na wakacjach 36

kaledarz imprez na wrzesień 38
wydarzyło się w wrzesień 40

foto Bartłomiej Kuczer

PRYZMAT Biała Podlaska ISSN 2300-018X
Biała Podlaska, ul. Marszałka Józefa Piłsudskiego 3
Koordynator wydawcy: **Renata Szwed (r), tel. 83 341 61 44**
Redaktor naczelny: **Andrzej Koziara (ak), 690 890 580**
Redakcja: Renata Szwed, Katarzyna Fronc, Max Twardowski, Radosław Plandowski, Małgorzata Nikolska, Ludwika Maryńczak, Katarzyna Filipiuk,
Foto: Małgorzata Piekarska, Elżbieta Pyrka, Zofia Mikonowicz, Edyta Tyszkiewicz, Mirosława Tymoszuk, Jarek Domański, Maciej Jencz, , Bartłomiej Kuczer, Piotr Rekucki, Karol Sudewicz, Robert Sozoniuk, Andżelika Żeleźnicka, Tomasz Łukaszuk, Paweł Romański
Druk: Top-Druk, 18-402 Łomża, ul. Nowogrodzka 151A
Wydawca; Urząd Miasta Biała Podlaska, 21–500 Biała Podlaska, ul. Marszałka Józefa Piłsudskiego 3
e–mail: pryzmat@bialapodlaska.pl, www.facebook.com/magazynpryzmat
Nakład: 3000 egz. Egzemplarz bezpłatny.
Treści zawarte w czasopiśmiePryzmat Biała Podlaska, chronione są prawem autorskim. Wszelkie przedruki całości lub fragmentów artykułów możliwe są wyłącznie za zgodą wydawcy. Odpowiedzialność za treści reklam ponosi wyłącznie reklamodawca. Redakcja zastrzega sobie prawo do dokonywania skrótów tekstów, nadawania śródtytułów i zmiany tytułów. Nie identyfikujemy się ze wszystkimi poglądami wyrażanymi przez autorów na naszych łamach. Nie odsyłamy i nie przechowujemy materiałów niezamówionych. Wszelkie prawa zastrzeżone. Wydawnictwo ma prawo odmówić zamieszczenia ogłoszenia i reklamy jeśli ich treść lub forma są sprzeczne z linią programową bądź charakterem pisma (art. 36 pkt. 4 prawa prasowego).

Andrzej Koziara

przez PRYZMAT

Kiedy chodziłem do szkół w latach 60. i 70. ubiegłego wieku (zawsze dostaję ataku dzikiego rechotu, kiedy piszę tę poprawną formułkę), październik był ustawowo ogłoszony miesiącem oszczędzania. I większość ludzi oszczędzała. I to od dziecka. Nie dla tego, że byliśmy bardziej gospodarnym społeczeństwem, świadomym itd. Nie. Jak już ktoś miał pieniądze, to nie bardzo miał je na co wydać, bo sklepy były jak lodówka, kiedy żony nie ma, a jest... tylko światło.
Ale edukacja o konieczności i zaletach oszczędzania szła pełną parą, bo czym skorupka za młodu.... Więc oszczędzaliśmy od małego. W szkole podstawowej były Szkolne Kasy Oszczędnościowe i książeczki SKO. Uczniowie na skarbnika wybierali jednego z kolegów i to on lub ona trzymali pieniądze uczniów. Niestety często zdarzało się, że skarbnik udzielał sobie pożyczki i pieniądze znikały. Ten proceder uczył oszczędnych braku zaufania do instytucji bankowych, a skarbników uczył podstaw bankowości typu Amber Gold.
Dla dorosłych były książeczki oszczędnościowe jedynego słusznego banku PKO. Dla zapobiegliwych były książeczki oszczędnościowe spółdzielni mieszkaniowych. Tam po 20-30 latach oszczędzania można było liczyć na otrzymanie mieszkania spółdzielczego znanego nam obecnie z filmu „Alternatywy 4". Były też książeczki na małego fiata 126p (właśnie minęła 40. rocznica wyprodukowania pierwszego egzemplarza). Po kilkunastu latach oszczędzenia taki wielbiciel motoryzacji lub jego dzieci dostawali wymarzonego malucha.
W ten czy inny sposób pieniądze lądowały najpierw w banku i pracowały przez dekady, żeby po wielu latach oszczędny Polak mógł dostać to, za co przez tyle lat płacił.
W pewnym sensie banki były naszymi dłużnikami. Teraz sytuacja się odwróciła. Możemy wreszcie kupić to, co chcemy, tylko że nie mamy za co. Nikt nas od dziecka oszczędności nie uczył. Wręcz przeciwnie. Najpierw się dostaje wymarzony towar, a spłaca się go przez wiele następnych lat. Teraz my jesteśmy dłużnikami banków. Często zdarza się, że nie mamy na spłatę zobowiązań, bo jakoś się przeliczyliśmy z dochodami, wydatkami i już sami nie wiemy, w którym banku, ile wisimy pieniędzy.
Może by znów ogłosić październik miesiącem oszczędzania? Nauczyć nasze dzieci w szkole, jak postępować z pieniędzmi, żeby w przyszłości umieć oszczędzać, żeby to banki znów były naszymi dłużnikami, a nie odwrotnie?
Jeżeli miałbym tylko jeden relikt z przeszłości ożywić w teraźniejszości, to byłby to „Październik – Miesiącem Oszczędzania", ale już bez książeczek mieszkaniowych i samochodowych.

A Koziara

BIAŁA PODLASKA

foto Adam Trochimiuk

1983

ADAM TROCHIMIUK – od ponad 30 lat fotograf prasowy z Białej Podlaskiej. Historyczne zdjęcia w naszej nowej serii DAWNIEJ I DZIŚ pochodzą z najnowszego albumu Trochimiuka "Tamten Świat". Album pokazuje Białą Podlaską i okolice w latach 80. ubiegłego wieku. Przez kilka następnych miesięcy będziemy prezentować najciekawsze zdjęcia z tego albumu. Każdemu z tych unikatowych zdjęć towarzyszyć będzie zdjęcie wykonane współcześnie przez fotografów z Białej Podlaskiej.

PUBLICZNE GIMNAZJUM NR 3

foto Adam Trochimiuk

2013

Michał Trantau

Jesienna SZKLANA pogoda

Często nawet nie zauważamy, że jesień to czas nowych ramówek w najpopularniejszych stacjach telewizyjnych. Kanały bombardują nas serialami, kolejnymi edycjami popularnych teleturniejów czy programów, łowiących talenty. Czasem nawet nie zwracamy na to uwagi. Jednak nie w tym roku. Od początku września Polsat w zimne, niedzielne wieczory serwuje nam komediową operę mydlaną wprost z Białej Podlaskiej. Serialem „To nie koniec świata" interesujemy się już od kilku miesięcy. Każdy był zdziwiony, że ekipie filmowej spodobała się stolica południowego Podlasia. Jednak właśnie tutaj dzieje się historia miłości warszawskiego cwaniaka i zaborczej trenerki piłkarskiej z miejscowego klubu.

Wśród dużej części mieszkańców ekscytacja opadała po pierwszych wyemitowanych odcinkach. Nagle każdy zaczął być specjalistą od produkcji telewizyjnych.

Zarzut numer jeden: serial jest fatalny, miałki i ma kretyńska fabułę. Szanowni Państwo, a czego się spodziewaliście? Teatru Telewizji? Wygląda to trochę tak, jakby po wyłączeniu Wam TVP Kultura, większość rozważałaby śmierć samobójczą. Czy tak jest? Nie sądzę! Od wielu lat jesteśmy otumaniani podobnymi serialami i nawet nie zwracamy na to uwagi. Odpowiedzcie sobie na pytanie, czym różni się „bialska produkcja" od „Szpilek na Giewoncie"? Tak! Niczym!

Zarzut numer dwa: scenarzyści zrobili z Białej Podlaskiej wieś. Moi drodzy trochę dystansu do siebie. A czym niby jest nasze miasto dla warszawiaka? Zapyziałą prowincją. A czy w najbliższej okolicy nie można spotkać krowy czy koguta? Owszem, jesteśmy przedstawieni jako prowincja, ale za to sympatyczna prowincja. Przeszkadza Wam średnio elokwentny mechanik samochodowy grany przez Eryka Lubosa. Gwarantuję, w Krakowie, Lublinie czy Gdańsku znajdą się tysiące podobnych. Litości! Patrzmy na to z przymrużeniem oka, nie ma innego wyjścia. Zasiadam co tydzień przed telewizorem i oglądam z uwagą każdy odcinek. Czasem się śmieje, czasem się denerwuje, ale nie potrafię zrozumieć tego podlaskiego malkontenctwa.

Trzeba przyznać, że serial trafił się nam trochę jak ślepej kurze ziarno. Jeśli magistrat wykupiłby 30-sekundowy spot w tym czasie antenowym, byłby posądzony o niegospodarność. Taka jednorazowa reklama to koszt ponad 50 tys. złotych. A tu mamy prawie darmowe 42 minuty o Białej Podlaskiej. Nie mówiąc, że lokowanie serialu to koszt nawet 200 tys. złotych z miejskiej kasy za jeden sezon. My za to nie płacimy! Kilka milionów Polaków dowiedziało się, gdzie leży nasze miasto. Uważam, że nawet dla tego faktu było warto gościć tutaj ekipę filmową. Trzeba tylko liczyć na to, że serial się przyjmie i powstaną kolejne sezony.

Mnie mierzi w serialu całkiem coś innego niż innych. Mało kto zauważył, że w dialogach pojawiło się kilka stwierdzeń, że Biała Podlaska to Lubelszczyzna. Do tego można się przyczepić. Jest bardzo dużo opracowań historyczno-geograficznych, które mówią jasno, że z tą krainą nigdy nie mieliśmy, nie mamy i nie będziemy mieli nic wspólnego. Przynależność administracyjna to nie wszystko! Tyle z mojej strony. Na koniec też chciałem trochę ponarzekać.

> „Owszem, jesteśmy przedstawieni jako prowincja, ale za to sympatyczna prowincja. Przeszkadza Wam średnio elokwentny mechanik samochodowy. Gwarantuję, w Krakowie, Lublinie czy Gdańsku znajdą się tysiące podobnych. Litości!"

Katarzyna Fronc

Apetyt na życie

Znajoma wyznała mi ostatnio, że już nie może się doczekać końca lata. – Co takiego? – zdziwiłam się niemiłosiernie, bo wiem, jak lubi słońce i lato. – No wiesz, dzieci pójdą do szkoły i przedszkola, a ja będę miała trochę czasu dla siebie. Na jakąś książkę w długie jesienne wieczory... No tak. Niby też to lubię, ale i tak będę narzekała na klimat. Na tę naszą szerokość geograficzną. Zaliczam się do zmarźlaków i nie lubię przejścia upalnego lata w jesień. Nawet w tę piękną, złotą. Do jej ciepłych kolorów nie przekonuje mnie jakże odmienna temperatura. Termometr za oknem przyprawia mnie o ból głowy. Do tego dochodzi katar i dopada mnie melancholia. Kaloryfery jeszcze nie grzeją, a koce nie wystarczają. Palce marzną i trudno stukać w klawiaturę. Na pulpicie ustawiłam sobie zdjęcie, jakie przysłał mi mąż (chyba po to, żeby mnie zdenerwować, choć twierdzi, że chciał mi tylko udowodnić, jak trudno jest funkcjonować w azjatyckim klimacie). Tym sposobem patrzę na sfotografowany termometr, którego wskaźnik powędrował ponad przewidzianą skalę.

Żeby pobudzić krążenie krwi, parzę herbatę, a nastrój poprawia mi widok świeżych róż w wazonie. Z trudem siadam do komputera. Naczelny chciał jesienny tekst o pozytywnym wydźwięku. Ale jak zdobyć się na optymistyczną paplaninę, kiedy za oknem siąpi i dżdży? – Nie przeżywaj, to tylko jesień – radzi telefonicznie mama. Tylko. Dobre mi sobie.

No ale dobrze, niech wam będzie. Może obędzie się bez herbacianych nonsensów...

Jesień kojarzy mi się ze schyłkiem nie tylko lata, ale i życia. Ale z drugiej strony to początek, dzięki któremu ludzie dostają czystą kartę, odcinają grubą kreską to, co było, i rozpoczynają coś nowego. Jedni zaczynają szkołę, idą na studia. Inni kończą karierę zawodową i przechodzą na emeryturę. Dla niektórych jest ona skaraniem boskim. Ale nie wszyscy załamują się z powodu braku zajęcia. Znam takich, dla których jesień życia jest tym, na co czekali z utęsknieniem, by w końcu rozwijać pasje i realizować marzenia. Jedni chwytają za aparaty fotograficzne, wsiadają w samoloty i lecą na drugi koniec świata, by zwiedzać i rozkoszować się wolnością. Drudzy, nie chcąc siedzieć w czterech ścianach, wychodzą do ludzi. – Wnuki to nie wszystko. Trzeba mieć też czas dla siebie, żeby naładować akumulatory – powiedziała mi kiedyś niezwykle aktywna seniorka. Po latach siedzenia za biurkiem w jednym z urzędów chciała spróbować czegoś, co będzie odskocznią od szarej rzeczywistości. Jej znajomi poświęcili się ogrodnictwu, robótkom ręcznym, albo ustawili się w kolejkach do lekarzy, mimo że nie musieli. Ale w poczekalniach mogą ponarzekać na stawy i zbolałe dusze.

Ona jednak – ta aktywna seniorka – zrobiła wszystko, by emerytura nie była nudna. Wybrała naukę na Uniwersytecie Trzeciego Wieku. Z zapałem uczy się angielskiego, poznaje obsługę komputera, gimnastykuje się pod okiem trenera i relaksuje na basenie. Jak tak na nią patrzę, nie mogę wyjść z podziwu, że starszej pani się chce. Dużo młodsze pokolenie nie ma tyle zapału i energii do działania. Siedzą przy komputerach i ani myślą zrobić czegoś, co wymaga odrobiny wysiłku.

W Białej Podlaskiej seniorzy niewątpliwie potrafią zorganizować sobie czas. Udzielają się nie tylko towarzysko, ale i społecznie. W ramach spotkań w klubach seniora, których w naszym mieście jest kilka, spotykają się systematycznie i cieszą swoim towarzystwem. Czasem organizują sobie potańcówki i wycieczki.

W Białej funkcjonuje też teatr seniorów Jesienny Liść. Dojrzali aktorzy na co dzień zagłębiają tajniki sztuki scenicznej. Na próbach dają z siebie wszystko po to, aby raz na jakiś czas stanąć w blasku fleszy, prezentując się bialskiej publiczności. Dlaczego to robią? Raczej nie dla oklasków. Po prostu mają apetyt na życie.

Dzisiejszy świat promuje kult młodości i urody. A ja się pytam, gdzie miejsce na pogodę ducha? Na piękno wewnętrzne i harmonię? Patrząc na aktywnych i szczęśliwych seniorów, nie myślę o nich jak o ludziach starych. Przeraziłam się, kiedy jakaś kosmetyczka powiedziała mi, że skóra zaczyna się starzeć po 25. roku życia. Dobrze, że dusza robi to wolniej albo wcale. Serce nie siwieje jak głowa. Bo w końcu starość to pojęcie względne.

> „Wnuki to nie wszystko. Trzeba mieć też czas dla siebie, żeby naładować akumulatory – powiedziała mi kiedyś niezwykle aktywna seniorka. Po latach siedzenia za biurkiem w jednym z urzędów chciała spróbować czegoś, co będzie odskocznią od szarej rzeczywistości."

TERAZ CZUJĘ, ŻE ŻYJĘ

tekst Katarzyna Fronc, foto: Bartłomiej Kuczer, archiwum

Młoda, piękna, utalentowana i wysportowana – to nie komplementy na wyrost pod adresem bialczanki Marty Książak, a szczera prawda. Dziewczyna od kilku lat prowadzi coraz bardziej popularne w całej Polsce zajęcia fitnesowo-taneczne o nazwie zumba. Oprócz tego – jak sama o sobie mówi – pracuje na kilka etatów. Śpiewa wspólnie z mężem, prowadzi biznes i jest mamą.

Marta Książak jest niezwykle aktywną osobą. Można powiedzieć, że to niespokojny duch. – Praca pozwala mi żyć – wyznaje. Jej ścieżka zawodowa zaczęła się od branży muzycznej. Marta śpiewa w zespole Rewers Band, gdzie muzykiem jest także jej mąż. W czerwcu ubiegłego roku wydali płytę we włoskiej wytwórni Pomodoro Studio.
W tygodniu jest mamą, prowadzi zajęcia zumby, a w weekendy śpiewa na różnych koncertach i imprezach. Ale po kolei...

Z szafy do Idola

Marta Książak śpiewa odkąd pamięta. Swój głos szlifowała w kółku wokalnym w Młodzieżowym Domu Kultury i domu rodzinnym. Jak to wyglądało? – Zamykałam się w szafie i wyłam przez trzy-cztery godziny – śmieje się dziewczyna, wyjaśniając, że w ten właśnie sposób ćwiczyła skalę wokalną. – Nie chciałam przeszkadzać rodzinie, a śpiewałam codziennie. Jak znudziło mi się otoczenie wieszaków, szłam na górę i śpiewałam na strychu – opowiada Marta.
Pierwsze poważne kroki wokalne bialczanka zaczęła stawiać, kiedy zdecydowała się na udział w przesłuchaniu u Janusza Józefowicza w warszawskim Teatrze Buffo. – Zbierali akurat ludzi do spektaklu „Metro" i udało się. Tam właśnie przez rok szkoliłam wokal pod okiem profesjonalistów – opowiada Marta. Nie ukrywa, że jej zamiarem było dostanie się do grupy tanecznej „Metra". – Niestety w tym czasie nie organizowali przesłuchań i zamiast tańczyć, jak chciałam, śpiewałam – wyjaśnia.
Bialczanka parę lat temu miała przygodę z telewizją. Wzięła udział w programie Idol. – Pojechałam na castingi spróbować swoich sił i zobaczyć, co się stanie dalej – wyjaśnia Marta. W programie dotarła do etapu kwalifikującego uczestników do finałowej dziesiątki. Była o włos. Zajęła trzecie miejsce, a jedynie dwa pierwsze gwarantowały kolejny etap. – To była naprawdę świetna przygoda – mówi bialczanka.

Z Bliskiego Wschodu na Podlasie

Na Idolu nie zakończyła się muzyczna kariera Marty. Kiedy miała 21 lat, z wrocławskim zespołem wyjechała na kontrakty wokalne najpierw na dziewięć miesięcy do Bahrajnu, a potem na pół roku do Jemenu. – W hotelach graliśmy praktycznie codziennie. Z jednej strony było to męczące, ale z drugiej podszlifowałam swoje umiejętności wokalne i język angielski – wyjaśnia bialczanka, która na Bliskim Wschodzie śpiewała nie tylko po angielsku, ale i arabsku. Wróciła, bo takie życie na walizkach nie do końca jej odpowiadało. – Niektóre wokalistki pracują tak latami. Ja chciałam się ustatkować. Założyć rodzinę – przyznaje Marta. Tak się stało po powrocie. Wyszła za mąż i urodziła dwójkę dzieci. Z mężem, który – jak sama mówi – jest w zespole jej szefem, grają koncerty i na różnego rodzaju imprezach, także weselach. – Praktycznie każdy weekend mamy zajęty – przyznaje.

„Z zajęć babki wychodzą mokre, ale to dla nich dobra zabawa. Trening odbywa się na zasadzie wesołego party. Można się też nauczyć tańczyć, a taniec przecież wyszczupla."

Aktywnie bierze też udział w różnych projektach muzycznych – można ją np. usłyszeć na płycie „ Bez słów" zespołu Łzy, gdzie zaśpiewała piosenkę pt. „Anastazja jestem".

Od klientki do trenerki

Marzeniem Marty z dzieciństwa, większym chyba niż śpiewanie, był taniec. – Chciałam iść do szkoły baletowej, ale nie wyszło – przyznaje. To jednak nie przekreśliło jej zamiłowania do tańca, bo Marta znalazła sposób, by robić to, co kocha. Przez sześć lat trenowała taniec współczesny. Znacznie później przyszedł czas na zumbę. – Od zawsze chciałam swoją drogę zawodową związać z tańcem, niestety inaczej się moje życie potoczyło. Ale, jak to mówią, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło – uważa Marta. Najwidoczniej los jej sprzyja.

– Przez przypadek trafiłam na zajęcia zumby, no może nie do końca była to zumba, ale pewne jej elementy pojawiły się na zajęciach. Bardzo mi się to spodobało i tak się zaczęło. Wtedy postanowiłam zrobić kurs i zostać instruktorem – opowiada Marta. Teraz prowadzi je w kilku miejscach w Białej Podlaskiej, w Szkole Tańca Boogie Town przy Sitnickiej, klubie fitness FitandFun przy Janowskiej oraz w Klubie Muzycznym Fregata przy Sidorskiej.

Zumba dla każdego

Na czym polega trening zumby? – To zajęcia ruchowe przy muzyce, zawierające elementy tańców latynoamerykańskich i aerobiku. Oprócz tego, że można złapać kondycję, schudnąć, to jeszcze naprawdę dobrze się bawić – zapewnia instruktorka. Podkreśla przy tym, że nawet jak ktoś ma kłopoty z rytmem, nie przeszkadza to w trenowaniu zumby. – Z zajęć babki wychodzą mokre, ale to dla nich dobra zabawa. Trening odbywa się na zasadzie wesołego party. Można się też nauczyć tańczyć, a taniec przecież wyszczupla. Systematyczne treningi pozwalają też zgubić kilogramy. Podczas jednych zajęć spala się około 600 kalorii – wylicza korzyści Marta. Potwierdzeniem jej opinii jest duże zainteresowanie zajęciami. Jak na razie korzystają z nich jedynie panie. – Bardzo nad tym ubolewam, ale może kiedyś się to zmieni – liczy trenerka. Póki co, cieszy się z tego, co ma.

I żyje pełnią życia. Jest energiczna i uśmiechnięta. Nie widać po niej, że zmaga się z chorobą. – Długo zastanawiałam się, czy o tym mówić. Tym bardziej do artykułu w prasie, ale może w ten właśnie sposób komuś pomogę, dam nadzieję, że nawet z nieuleczalną chorobą, jak stwardnienie rozsiane, można żyć – wyjaśnia Marta. Zdiagnozowano ją kilka dni przed rozpoczęciem kursu na instruktora zumby. – Lekarze właściwie mi to sugerowali, a jak wróciłam ze szkolenia, potwierdzili swoje przypuszczenia – opowiada, podkreślając, że zumba pomogła jej w walce z chorobą. – Mam nadzieję, że to moje wyznanie o stwardnieniu, zmotywuje chorych, żeby się nie poddawali, nie załamywali – wierzy Marta.

Więcej o zumbie i zdrowym stylu zycia, na stronie internetowej Marty – www.martaksiazak.pl oraz na profilu na facebooku.

NIE TRZEBA SIĘ BAĆ ŻYCIA

Z białczanką, nauczycielką angielskiego, artystką Joanną „Soul” Wołoczko, o życiu kobiety owładniętej przymusem tworzenia rozmawiała Edyta Tyszkiewicz

foto Angelika Żeleźnicka

Pytanie, które nasunęło mi się, gdy oglądałam twój występ w Must Be The Music, to skąd u Polki taka miłość do czarnej muzyki?
– To bardzo dobre pytanie i trochę przerażające dla mnie, bo tak bardzo chciałabym, żeby Polacy otworzyli się na tę muzykę. My jesteśmy wychowani na raczej ciężkiej muzyce, na punk rocku, za którym ja osobiście nie przepadam. Lubię takie rzeczy okrągłe, takie dosadne a jednocześnie płynne, wyrafinowane, zmysłowe i ta muzyka soul właśnie taka jest. Uwielbiam nie tylko soul, ale też hip-hop. Hip-hop old-schoolowy, który jest bardzo męski, szorstki, bardzo mi się podoba. Uwielbiam też mocne, ciężkie bity. Z drugiej strony mamy R&B – gatunek niesamowicie kobiecy i seksowny. Przebrnęłam oczywiście przez różne gatunki muzyczne i generalnie lubię wszystko, co jest prawdziwe, co płynie prosto z serca, co mnie wzrusza, co powoduje, że mam ciarki na ciele. Jednak to właśnie ta czarna muzyka najbardziej oddaje to, jaka jestem.

Czyli jesteś różnorodna.
– Raczej bywam ekstremalna, do wyczerpania zapasów energii. Potem muszę się zregenerować. Po Must Be The Music, po tym szale, po tych wszystkich telefonach miałam w pewnym momencie dość. Źle się czułam, bolała mnie głowa, musiałam się wyciszyć.

Jak odpoczywasz?
– Najchętniej fizycznie. Lubię jeździć rowerem, szczególnie po lasach. Kocham lasy. Ale potrafię też cały dzień nic nie robić, obijać się.

Skąd pomysł żeby wystąpić w talent show?
– Przez długi czas byłam bardzo negatywnie nastawiona do tych wszystkich muzycznych programów, ale w pewnym momencie zdałam sobie sprawę, że jest to w naszych czasach jakiś sposób na pokazanie siebie. Tam pojawiają się bardzo zdolni ludzie, tam są diamenty. Taki program to teraz wyznacznik naszych czasów. Akurat w tym programie dobre jest to, że można pokazać własne projekty. Oni nawet zachęcają do tego. Okazało się, że było naprawdę bardzo sympatycznie. Naprawdę.

Czyli pokażesz coś swojego w następnym odcinku?
– Tak, jak najbardziej.

W takim razie porozmawiajmy o twojej twórczości. Nie masz żadnego przygotowania muzycznego. Niektórym się wydaje, że bez tego trudno jest tworzyć dobrą muzykę.
– Właśnie to jest łatwe. To jest dla mnie środowisko naturalne. Jak ktoś znajdzie się w takim środowisku, to dla niego tworzenie czegokolwiek nie jest trudne. Czasami to może być obciążające, męczące, pod takim względem, że to ciągle siedzi w głowie. Na przykład jeśli jestem akurat na etapie tworzenia, to jest po prostu szał. Idę ulicą i ciągle myślę, czy tu zrobić jakiś dźwięk, czy jakiś tekst przychodzi mi do głowy. To czasami jest upierdliwe dla mnie samej, ale artyści tak mają. Kiedy jestem w trakcie tworzenia, zapominam nawet o jedzeniu. Czasem jak coś mnie nęka, to nie mogę spać, a czasem odwrotnie. Potrafi mi się coś przyśnić i wtedy budzę się i zapisuję, żeby nie zapomnieć. W ogóle bardzo lubię moje sny. To jest dla mnie taki drugi świat i on jest, bardzo, bardzo dla mnie ważny, bo on mi mówi, co tak naprawdę we mnie siedzi. Przez to umiem spojrzeć w głąb siebie, wsłuchać się w siebie, a to pomaga mi żyć z innymi ludźmi. Przez to, że wiem, co się pod kopułą u mnie dzieje, umiem przeanalizować moje relację z innymi ludźmi i wyciągnąć wnioski. Podświadomie te sny inspirują mnie też do tworzenia. To jest taki zlepek wyobraźni, przeżyć, tej świadomości, przemyśleń, intelektu, obserwacji, który przekładam na dźwięki.
Obracając się w różnych lokalnych muzycznych środowiskach, wręcz stwierdzam, że najbardziej utalentowani ludzie muzycznie, to są samouki. Ludzie po szkołach muzycznych często mają wbity do głowy jakiś schemat i są odtwórczy. Oni sami niczego nie wymyślą. Oni nie mają już takich „jazd” artystycznych. Dla mnie życie muzyką to jest właśnie środowisko naturalne i nie wyobrażam sobie, że można byłoby żyć tylko sprawami przyziemnymi.

Jak takiej artystycznej duszy żyje się w takim mieście jak Biała Podlaska? Wielu mieszkańców narzeka, że nic się tu nie dzieje?
– Ja zawsze potrafię znaleźć swoje miejsce, jakieś zajęcia. Otaczam się ludźmi, których dobrze znam, którzy odbierają na tych samych częstotliwościach, robimy razem różne fajne rzeczy. Bardzo podoba mi się Biała, choćby z tego powodu, że mamy tu tak wiele pięknych terenów, gdzie mogę sobie pojeździć na rowerze. Jeśli się chce, można znaleźć sobie zajęcie. Im człowiek jest starszy, tym bardziej docenia różne aspekty życia w wiosce czy w małym mieście. A jeśli mam potrzebę obcowania z wyższą kulturą, to przecież mogę wyjechać, na przykład na koncert. Jeździłam po całej Polsce na występy swoich ulubionych wykonawców. Ale tak naprawdę, to jestem teraz na etapie tego, że chciałabym być z tej drugiej strony. Chciałabym być bardziej dawcą niż biorcą.

Czyli jeszcze nie koncertujesz?
– Zdarza się, że pojawiam się na scenie, ale powiem szczerze, że bardzo bym sobie życzyła, żeby więcej było takich koncertów. Jednak w Białej trudno jest koncertować. Chcę gdzieś więcej i mocniej.

Scena to twój żywioł...
– (śmiech) Gdyby nie było to moim żywiołem, to bym się tym w ogóle nie zajmowała.

Bo wiesz, są czasem ludzie, którzy marzą o tym, aby być wokalistami, ale wychodzą na scenę i zamykają oczy. Boją się publiczności, najchętniej odwróciliby się tyłem i śpiewali jakby dla siebie.

– Zastanawiam się, co mogą mieć w głowach tacy ludzie. Przecież ja, będąc wokalistką, jestem na pierwszej linii z publicznością. Dodatkowo jestem kompozytorką, piszę teksty, więc ja się wyrzyguję na tej scenie tym wszystkim, więc ja muszę mieć potrzebę zrobienia tego na kogoś, do kogoś. Nie mogę sobie wyobrazić, jak ktoś kochający muzykę, autoekspresję, wychodzi na scenę i się wstydzi. To coś tu nie gra. Ja na scenie jestem sobą. Jestem zwierzęciem scenicznym.

Skoro lubisz wyżywać się na scenie, to czy do takiego codziennego życia potrzebujesz ludzi? Czy jednak wybierasz samotność?
– Właśnie ostatnio zastanawiałam się nad tym, w kontekście bumu związanego z programem, i okazało się, że nie za bardzo byłam tym zachwycona. Te pierwsze dni były ciężkie. Mnie się wydawało, że każdy mnie obserwuje. Teraz już te emocje opadły i już nie zwracam na to uwagi.

Jak robię muzykę, jak tworzę, to potrafię się zamknąć i dniami nie wychodzić z pokoju, ale kiedy to mija, potrzebuję czegoś innego, potrzebuję ludzi. Nie mogłabym mieszkać na wsi, gdzie jest cisza i spokój. Bardzo lubię naturę, lubię te zapachy, uwielbiam lasy. Uwielbiam to, ale nie mogłabym cały czas mieszkać gdzieś, gdzie nie ma tego ruchy, tej zmiany energii, która jest w mieście. Ona mnie wręcz kształtuje. Z drugiej strony, jak zbyt dużo tej energii fizycznej się we mnie nagromadzi, to muszę ją wychodzić, wyjeździć, wyspacerować, wytańczysz.

Co najbardziej cenisz w ludziach?
– Łagodność, delikatność, wyobraźnię, dystans, poczucie humoru, ale też energię. Energia potrzebna jest do wszystkiego. Energia intelektualna i emocjonalna – to są takie, które sobie bardzo cenię. Ona jest potrzebna do tworzenia muzyki, zresztą tak samo energia fizyczna.

A co cię inspiruje oprócz muzyki?
– Natura ludzka. Człowiek sam w sobie. Jak go tak zaczniemy rozbierać na czynniki pierwsze, tak w nim grzebać, to znajdujemy bardzo wiele. A jeszcze to, co się dzieje poza człowiekiem, co się dzieje z nim po śmierci, czy jest Bóg, czy go niema, dokąd idziemy, to całe nasze życie. Jest mnóstwo pytań, na które nie ma odpowiedzi, i wydaje mi się, że właśnie brak tych odpowiedzi jest największą inspiracją.

O dawna tworzysz?
– Od dziecka. Ja w ogóle byłam twórczym dzieckiem. Dużo rysowałam, malowałam, pisałam też wiersze, ale w pewnym momencie doszłam do wniosku, że muzyka to dla mnie najlepszy wentyl. Wszystkie emocje, które we mnie siedzą, dzięki muzyce mogę najpełniej wyrazić. Tworzę dźwięki i piszę teksty. Moja autoekspresywna natura ma tutaj największe pole do popisu. Dla mnie muzyka, dźwięki są na równi ważne z tekstem.

A teksty? Czego dotyczą?
– Myślę, że każdy tekst, nie tylko mój, dotyka takich samych spraw. Ludzkich, takich, które dotyczą nas wszystkich i zawsze. Może jestem jakąś hedonistką i może mi chodzi o zaspokojenie swoich własnych potrzeb, ale nie zależy mi, żeby zapisać się na kartach historii, piszę o tym, co mi jest bliskie, co dotyka mnie bezpośrednio. Myślę, że te moje teksty też mają jakiś wymiar społeczny, dotykają spraw, które mnie zaintrygowały, zasmuciły, zadziwiły.

Zastanawiam się, czy jesteś osobą, która stawia na przypadek, czy jednak masz plan na swoje życie, określone cele, do których twardo dążysz, nie zbaczając z drogi?
– Wydaje mi się, że im człowiek jest starszy, tym bardziej zdaje sobie sprawę z tego, jakie rzeczy mu nie służą i świadomie nie idzie już w kierunku, który nie jest dla niego. Raczej moje życie opiera się na zasadzie świadomej eliminacji rzeczy, które nie są dla mnie dobre. Staram się wybierać tylko to, co uważam za słuszne, chociaż życie ciągle mnie zaskakuje.

Zawsze chciałaś zostać nauczycielką, czy jednak tu zadziałał przypadek i była to jedna z tych rzeczy, które cię zaskoczyły?
– Jak byłam małolatą, to często z młodszymi dziećmi sąsiadów bawiliśmy się w szkołę. Ja zawsze byłam wtedy nauczycielką. To było fajne. Kiedyś w collegu angielskim – tak na marginesie zawsze bardzo lubiłam język angielski, myślę nawet, że on jest dla moich strun głosowych bardziej naturalny niż język ojczysty (śmiech) – wracając do tematu, kiedyś na zajęciach profesorka metodyki zapytała, kto z nas chciałby w przyszłości zostać nauczycielem. Tylko dwie osoby podniosły palce, ja nie, ale u mnie potoczyło się to jakimś takim naturalnym trybem i nie żałuję. Bardzo lubię pracę z młodzieżą, to też daje mi energię.

Czy zawsze spełniasz swoje marzenia, czy są takie, które na przykład odkładasz na później, bo powiedzmy nie dorosłaś jeszcze do nich, nie masz jeszcze takiej siły, żeby je realizować?
– Jeżeli mam jakieś marzenie, to znaczy, że już do niego dorosłam. Ono nie pojawiło się w mojej głowie znikąd. Czasami się boję realizacji tego marzenia. Boję się takich czynników, na które nie miałabym wpływu, ale też wiem mniej więcej, co negatywnego, oprócz tych pozytywnych rzeczy, może mnie czekać po drodze. I najzwyczajniej w świecie się boję, ale nie można tak. Nie można się bać, bo to do niczego nie prowadzi. Był taki czas, kiedy moje marzenia muzyczne odłożyłam na bok, próbowałam o nich zapomnieć, ale byłam wtedy nieszczęśliwa. Wręcz był taki moment w życiu, kiedy bardzo chorowałam i nikt nie wiedział, co mi jest, aż zdałam sobie sprawę z tego, że nie żyję w zgodzie z samą sobą. Kiedy zaczęłam się realizować, wszystko zaczęło wracać do normy.

O czym w takim razie marzysz teraz?
– Żeby znaleźć ludzi, którzy pokierują mną, moją karierą muzyczną od strony techniczno-menadżerskiej, bo sama nie mogę się wszystkim zająć. O ile jestem dobra w planowaniu, jestem osobą dobrze zorganizowaną, to technicznie niestety jestem noga. Naprawdę się na tym nie znam. Poza tym wolę być od spraw artystycznych. Szukam profesjonalisty. Na etapie, w którym teraz jestem, nie chciałabym pracować z kimś początkującym. Mam też takie marzenia globalne. Chciałabym zwiedzać świat, poznawać różne spojrzenia na życie, a także upewniać się w tym, że w różnych zakątkach świata są ludzie, którzy prowadzą zupełnie inny tryb życia niż my, a jednak mamy ze sobą coś wspólnego. To jest takie budujące. Inne, te małe marzenia spełniam na bieżąco.

A gdzie chciałabyś mieszkać, gdybyś nie mieszkała w Białej?
– Zdecydowanie w Nowym Jorku. Wydaje mi się, że to taki kulturowy i intelektualny tygiel. Tam jest sztuka na absolutnie najwyższym poziomie. Jednak nie wiem, czy nie tęskniłabym za krajem. Czy nie byłoby tak, że bym tam pomieszkała trochę i wróciłabym? Ale gdybym mogła pojechać tam w celach artystycznych, to na pewno byłaby to dla mnie wielka przygoda.

Jesteś kimś, kto swoim życiem pokazuje, że warto się realizować, że może to robić każdy i wszędzie, niezależnie od tego, gdzie mieszka. Myślę podobnie i uważam, że za rzadko ludzie to sobie uświadamiają.
– Na podstawie moich doświadczeń, mojego życia chciałabym coś poradzić młodym ludziom, mającym marzenia. Ludziom, którzy się wahają, którzy nie są pewni, chcę powiedzieć, żeby się nie bali. Może to banalne, ale absolutnie powinni słuchać siebie, podążać za głosem swojej intuicji w każdej sprawie. W swoim życiu spotkałam się z różnymi komentarzami na temat mojej pasji. Mówili, po co ci ta muzyka, trzymaj się tego, co masz, ale nie tędy droga. Na dłuższą metę omijanie tego, co dla nas ważne, nie przyniesie nic dobrego. Prawdziwa natura człowieka o sobie w końcu przypomni i nieźle przykopie. I bardzo dobrze. Trzeba słuchać tego, nie lekceważyć. Poza tym człowiek ma prawo popełniać błędy i nie trzeba się tego bać. W ogóle nie trzeba bać się życia.

„Grosz do grosza zbierał co dnia, SKO mu dopomogła"

tekst Edyta Tyszkiewicz
foto Angelika Żeleźnicka

W czasach komuny październik był miesiącem oszczędzania, a w szkołach popularna była Szkolna Kasa Oszczędności, czyli SKO. Okazuje się, że ta przetrwała zmianę ustroju, ale nie obyło się bez wprowadzenia innowacji. Oprócz tradycyjnych książeczek SKO dzieciom zakłada się teraz oddzielne oprocentowane konta elektroniczne, którymi dysponują rodzice, oraz wydaje internetowe karty płatnicze.

skarbonka SKO rok 1969

skarbonka SKO rok 2013

Pierwsze Szkolne Kasy Oszczędności powstały już w 1927 roku, ale to właśnie po II wojnie światowej nastąpił bum oszczędnościowy. Każdy uczeń szkoły podstawowej, począwszy od pierwszej do ósmej klasy, posiadał własną książeczkę, w którą wpisywano wszystkie wpłaty i wypłaty. Oczywiście, jak to w komunie, wpłacanie na książeczkę SKO było obowiązkowe i każdy, przynajmniej raz w miesiącu musiał wpłacić choćby niewielką kwotę. Ale z oszczędzaniem w SKO związane były cenne nagrody indywidualne i zbiorowe, takie jak rowery, radioodbiorniki czy nawet wycieczki. W tamtych czasach kieszonkowe nie było zbyt popularne, dlatego obowiązek wpłacania na SKO nie był przykry. Rodzic musiał dać jakieś pieniądze dziecku i już, a dziecko dzięki temu miało poczucie, że posiada własną kasę, którą dodatkowo można było wypłacać wtedy, kiedy była taka potrzeba. Od początku SKO była taką młodszą siostrą banku PKO i to tam trafiały oszczędności dzieci. To się nie zmieniło.

Z duchem czasu

W dalszym ciągu PKO BP obsługuje wszystkie szkoły, ale od jakiegoś czasu bank zaczął wprowadzać wiele nowości. Jedną z najbardziej spektakularnych, na miarę naszych czasów, jest bankowość elektroniczna. Oprócz popularnych książeczek SKO uczniom zakłada się teraz oddzielne konta elektroniczne, którymi dysponują rodzice. Każde dziecko może wpłacać pieniądze w swojej klasie, gdzie są zbierane przez opiekunkę SKO i przelewane do banku, ale też sami rodzice mogą robić przelewy na indywidualne konta swoich pociech, oraz w miarę możliwości, wypłacać te pieniądze. Konta SKO są też oprocentowane, czego nie było w dawnych czasach, a procent wcale nie jest taki mały, bo wynosi 5 proc., a od 2500 tys. złotych 2 proc. od każdej nadwyżki.

Wprowadzoną w tym roku nowością w SKO jest to, że dziecko może kontynuować oszczędzanie w szkołach ponadpodstawowych. Już nie musi wypłacać oszczędzonych pieniędzy na koniec podstawówki, tylko deklaruje chęć przejścia na nowe konto.
Uczniowie posiadający konta elektroniczne dostają też karty płatnicze i sami mogą korzystać z konta za pomocą internetu, oczywiście pod okiem rodziców.
Ciekawostką są Skarbonki, które dzieci same sobie zakładają. Do nich automatycznie wpada ustalony przez dziecko procent z całej puli wpłacanych pieniędzy. Można założyć kilka takich Skarbonek.
Według nauczycielki Urszuli Nikoniuk ze Szkoły Podstawowej nr 3, konta elektroniczne, to bardzo dobre rozwiązanie. – Dziecko przyzwyczaja się do poruszania w świecie bankowości i uczy myślenia ekonomicznego – podkreśla. Według niej, jedynym niedopracowanym jeszcze elementem jest to, że na książeczkach papierowych nie uwzględnia się procentu, który rośnie na koncie. Jedynie ci, posiadający konta elektroniczne, widzą dokładnie, jak ich pieniądz pracuje i ile zyskują na oszczędzaniu.

Młodsi oszczędzają chętniej

Szkoła Podstawowa nr 3 w Białej Podlaskiej do programu elektronicznego w ramach SKO przystąpiła rok temu, ale wciąż sporo dzieci korzysta jedynie z papierowych książeczek. To ma się zmienić. Uczniowie z VI B z tej szkoły w poprzednich latach nie zbierali zbyt chętnie pieniędzy na swoich książeczkach SKO. Woleli wydawać je na bieżąco. Na swoich kontach mieli niewielkie sumy. Najczęściej dostawali je od rodziców. W VI B są też tacy uczniowie, którzy przynosili do SKO pieniądze zarobione przez siebie, np. przy zbiorze wiśni, ale to są wyjątki.
W tym roku większa niż dotąd ilość uczniów deklaruje chęć założenia kont elektronicznych. – Chcemy mieć

własne karty płatnicze – mówią i dodają, że kusi ich procent rosnący na kontach. Część klasy zastanawia się też nad kontynuacją SKO w szkole ponadpodstawowej. Zupełnie inaczej sprawa wygląda w młodszych klasach. Tam dzieci bardzo chętnie wpłacają na SKO i cieszą się z każdej złotówki, którą mogą dopłacić do swojego konta. Są też bardzo świadome potrzeby oszczędzania i stawiają sobie określone cele. Uczniowie z II E ze Szkoły Podstawowej nr 5 bez zastanowienia wymieniają to, na co odkładają pieniądzei otrzymane od rodziców bądź dziadków – na wakacje, kosztowne zabawki, klocki Lego, a nawet tablety. Poza tym większość uczniów z tej klasy nie wypłaciło pieniędzy wraz z końcem roku szkolnego. Zależy im, by mieć na książeczce jak najwięcej uzbieranych przez siebie pieniędzy. Potwierdza to fakt, że aż trzech uczniów z tej klasy na koniec poprzedniego roku szkolnego otrzymało nagrodę w konkursie „Najlepiej oszczędzający uczeń."

Pod kontrolą rodziców

W Szkole Podstawowej nr 5 wciąż obowiązuje jedynie system wpłacania na książeczki, bez możliwości zakładania kont internetowych. Według szkolnej opiekunki SKO, nauczycielki Beaty Wiencis, w tamtym roku zbyt mało rodziców wyraziło chęć ich zakładania. Pieniądze nadal są zbierane przez skarbnika klasowego lub wychowawcę, wpłacane na konto szkoły i dopiero wówczas rozprowadzane na indywidualne konta uczniów. Oczywiście nawet w takim systemie jest naliczany procent. Chcąc wypłacić mniejsze kwoty, dzieci muszą przynieść do szkoły pisemną zgodę rodziców. Natomiast jeśli na koniec roku uczeń chce wypłacić całość łącznie z procentami, rodzic musi osobiście zgłosić się do banku.
– W naszej szkole dzieci bardzo chętnie oszczędzają. Do SKO należy około 80 proc. uczniów, ale kwoty, które zbierają przez rok, nie są duże. Najczęściej jest to od 100 do 500 złotych. Zdarzają się jednak tacy uczniowie, którzy mają nawet ok. 1000 zł na książeczce. W tym roku może się to zmienić, ponieważ szkoła przygotowuje się do obsługi elektronicznej, tym bardziej że podobno od stycznia przyszłego roku bank chce wprowadzić wyłącznie konta elektroniczne, czyli ze szkół mogą zniknąć popularne przez tyle dziesiątków lat książeczki SKO – wyjaśnia Wiencis.

Bonusy od banku

Szkoły nie ograniczają się jedynie do zbierania pieniędzy. Co roku organizowane są wewnątrzszkolne konkursy dotyczące oszczędzania, np. „Najlepiej oszczędzający uczeń" czy „Najlepiej oszczędzająca klasa". Wiele z nich dotyczy oszczędzania w szerszym znaczeniu i ma związek na przykład z ekologią. Na te konkursy członkowie SKO sami pozyskują nagrody, organizując dyskoteki czy kiermasze. Dodatkowo w październiku szkoły dostają od banku pakiet startowy, czyli różnego rodzaju gadżety wykorzystywane później jako nagrody dla uczniów. Oprócz tego sam bank organizuje ogólnopolski konkurs pod hasłem „Dziś oszczędzasz w SKO, jutro w PKO". Konkurs rozgrywa się na dwóch etapach – regionalnym i krajowym.
Szkoła Podstawowa nr 5 w 2007 roku zdobyła 1. miejsce w konkursie krajowym, za co dostała pieniądze przeznaczone na sprzęt i pomoce dydaktyczne. Z kolei w latach 2008-2009 zajęła 1. miejsce w regionie i 3. w Polsce.
Szkoła Podstawowa nr 3 również ma sukcesy na tym polu. W ubiegłym roku dostała wyróżnienie pierwszego stopnia w konkursie krajowym.
W Europie i na świecie koncepcja oszczędzania przez dzieci i młodzież w ramach Skolnych Kas Oszczędności ma już około 150 lat. Mimo tego że SKO w Polsce działa już od ponad pół wieku, a szkoły cały czas propagują ideę oszczędzania, to jednak największą rolę w kształtowaniu ekonomicznej świadomości dzieci mają rodzice. Przecież to właśnie od nich zależy, czy dziecko w ogóle będzie należało do SKO i jak często będzie wpłacało choćby najmniejsze kwoty.

WE WSPÓLNYM ŚWIECIE

tekst Katarzyna Fronc
foto Angelika Żeleźnicka, Piotr Księżopolski

Niewielu bialczan zdaje sobie sprawę, że w ich rodzinnym mieście funkcjonuje jeden z nielicznych w kraju ośrodków dla dzieci dotkniętych autyzmem. Dzięki temu całe rodziny mają dostęp do diagnozy i otoczone są specjalistyczną opieką, ale też sercem, którego pracownikom, terapeutom i nauczycielom nie brakuje. To jest niezbędne, by uczyć się żyć w jednym, wspólnym świecie.

Czasem nie zdajemy sobie sprawy, że w kolejce przy sklepowej kasie stoi przed nami człowiek dotknięty autyzmem albo cierpiące na to schorzenie dziecko uczy się w klasie naszej pociechy. Bo – jak zapewniają specjaliści – pewna część tych osób może samodzielnie funkcjonować w społeczeństwie. Jednak podstawowym warunkiem sukcesu jest wczesne rozpoczęcie terapii. To zapewnia bialskie Stowarzyszenie Pomocy Młodzieży i Dzieciom Autystycznym oraz Młodzieży i Dzieciom o Pokrewnych Zaburzeniach Wspólny Świat, które nie dość, że oferuje kompleksową pomoc autystom, to jeszcze ciągle się rozwija. – Nam nie przestaje się chcieć – zapewnia Anna Chwałek, założycielka i prezes stowarzyszenia. Tego typu placówki funkcjonujące w kraju da się policzyć na palcach jednej ręki. A my, w Białej Podlaskiej, właśnie taką mamy.

Choroba, z którą można żyć

Autyzm – jak wyjaśnia Marta Łukowska-Almaszy, dyrektor Ośrodka Terapii i Diagnostyki Dzieci Autystycznych przy stowarzyszeniu Wspólny Świat – ma nieskończoną ilość obrazów i każde dziecko jest inne. – Niektóre nie mają umiejętności nawiązywania relacji społecznych, inne mają tę umiejętność osłabioną. Większość osób z autyzmem ma poważne trudności z komunikacją – około 50 proc. to osoby niemówiące, duża część z pozostałej grupy ma trudności z wykorzystaniem mowy do porozumiewania się. Autyści prezentują też często nietypowe zachowania, nazywane stereotypiami, albo mają swoje szczególne zainteresowania, które w naszym społeczeństwie nazywane są dziwactwami – wyjaśnia, podkreślając, że poziom zaburzeń jest zróżnicowany, od bardzo głębokiego po nieznacznie nasilony. Jest więc możliwe, by osoba z dyskretnymi objawami autyzmu mogła stosunkowo normalnie funkcjonować w społeczeństwie. Są dzieci, które podane intensywnej terapii robią duże postępy. – Jest szansa, że się usamodzielnią i przy odpowiednim wsparciu rodziny będą satysfakcjonująco funkcjonować, być może ukończą studia. Ale będzie też gros dzieci, które mimo intensywnej terapii, będą tej opieki potrzebowały do końca życia. Z tym najtrudniej pogodzić się rodzicom – uważa Chwałek.

Więcej autyzmu

– Na 10 dzieci zgłoszonych do diagnozy, 7 ma potwierdzony autyzm. U pozostałej trójki najczęściej mamy do czynienia z innym rodzajem zaburzeń, np. upośledzeniem umysłowym, afazją rozwojową bądź ADHD – wyjaśnia Łukowska-Almaszy. Dodaje, że autyzm dotyka w większości chłopców: – Na 5 dzieci dotkniętych autyzmem jest jedna dziewczynka. Tę statystykę potwierdzają proporcje chłopców do dziewczynek w naszych placówkach. Obecnie w

przedszkolu na trzydzieścioro ośmioro dzieci mamy 6 dziewczynek, a w szkole na 16 dzieci jest 5 dziewczynek.
Anna Chwałek przypomina sobie, że kiedy zaczynała pracę w stowarzyszeniu, miała znacznie mniej podopiecznych niż dziś. – O ile pięć lat temu była to jedynie dziesiątka dzieci, od 6. do 10. roku życia, i dwa oddziały przedszkolne, teraz mamy ich ponad setkę w wieku od półtora roku do 21 lat, siedem oddziałów przedszkolnych i cztery klasy szkolne – wyjaśnia i dodaje, że konieczność założenia szkoły wynikała z faktu, że dzieci dorastały i potrzebowały miejsca, gdzie będą mogły uczyć się w warunkach dostosowanych do ich możliwości i ograniczeń. – Nic nie zapowiadało, że dzieci chorych na autyzm będzie tak dużo. Kiedyś było tej choroby mniej i była rzadziej diagnozowana. Teraz diagnostyka jest lepsza i bardziej dostępna, wiedza na temat autyzmu jest większa. No i niestety lawinowo wzrasta zapadalność na autyzm, co potwierdzają statystyki na całym świecie. Aktualnie przyjmuje się, że jedno dziecko na 100 to dziecko z autyzmem – mówi Chwałek.

Pomoc rodzinie

Kiedy już ktoś ze swoją pociechą zgłasza się do ośrodka Wspólny Świat, podejrzewa, że coś jest nie w porządku. Tu w pierwszej kolejności można liczyć na diagnozę, która pozwala podjąć stosowną terapię. W skład zespołu diagnostycznego wchodzi lekarz psychiatra, neurologopeda, psycholog i pedagog specjalny. – Postawy rodziców przy przekazywaniu im diagnozy są bardzo różne. Ale i sytuacja jest trudna. Czasem bywa, że jedno z rodziców widzi problem, a drugie go wypiera. To bardzo ciężki moment i dla rodziców, i dla zespołu diagnostycznego. Autyzm to trochę jak wyrok, bo na dzień dzisiejszy jest nieuleczalny – przyznaje Chwałek. Dlatego tak samo dużą wagę jak do terapii dzieci przywiązuje do udzielania wsparcia ich rodzicom. – Oferujemy pomoc o szerokim spektrum, bo tak naprawdę autyzm dziecka wpływa na całą rodzinę i potrafi mieć destrukcyjny wpływ na jej funkcjonowanie. Dlatego wsparcie otrzymują i rodzice, i rodzeństwo autysty. To bardzo ważny element ogólnej terapii, mający wpływ na postępy czynione przez dziecko. Już trzeci rok prowadzimy grupę wsparcia dla rodziców, oferujemy też zajęcia dla całych rodzin – podkreśla szefowa stowarzyszenia. By ich wspierać jak tylko się da i w każdy możliwy sposób, czesne za pobyt dzieci w przedszkolu jest symboliczne. Wynosi jedynie 250 zł, podczas gdy w podobnych placówkach w Polsce dochodzi do 1300 zł. – Nasze tereny nie są bogate, a dochody rodziców dzieci autystycznych zazwyczaj są mniejsze, bo często tylko jedno z opiekunów pracuje – zauważa Chwałek.

Z własnego doświadczenia

Wspólny Świat powstał kilka lat temu. Annie Chwałek urodziły się bliźniaki, z których jedno jest dotknięte autyzmem. Pomimo wcześnie postawionej diagnozy kobieta miała duże trudności z uzyskaniem odpowiedniej pomocy dla syna. Postanowiła walczyć o dziecko i terapię dla niego. – Wszystko, co mi zaproponowano, to 3 godz. w tygodniu indywidualnych zajęć terapeutycznych w przedszkolu integracyjnym, raz w miesiącu zajęcia u logopedy w poradni, raz w tygodniu pół godz. hipoterapii i tyle. Miałam poczucie, że to jest bardzo mało i przede wszystkim nie uwzględnia kluczowego celu terapii osób z autyzmem, czyli uspołeczniania – wyznaje mama dziś 13-letniego Kuby. Przyznaje równocześnie, że nawet uzyskanie rehabilitacji w tym zakresie i w tej formie, wymagało od niej wielu zabiegów. Dlatego postanowiła pomóc nie tylko swojemu synowi, ale i innym chorym dzieciom i ich rodzicom poprzez stworzenie miejsca, gdzie będą mogli uzyskać wsparcie na miarę swoich potrzeb. – Kiedy powstało stowarzyszenie, chcieliśmy dać mak-

simum. Także możliwość pracy rodzicom, po to, żeby za kilka lat nie okazało się, że mamy pokolenie, w którym nie tylko dziecko, ale cała rodzina są objęci pomocą Ośrodków Pomocy Społecznej – tłumaczy Chwałek. Stąd właśnie pochodzi chęć budowania Centrum Kompleksowej Terapii, Edukacji i Rehabilitacji Dzieci, Młodzieży i Dorosłych Osób z Autyzmem.

Kompleksowa oferta

Na dzień dzisiejszy dzieci w przedszkolu prowadzonym przez Wspólny Świat uczestniczą w zajęciach edukacyjno-terapeutycznych przez minimum 5 godz. – Dodatkowo realizujemy zajęcia finansowane przez PFRON lub POKL i specjalistyczne usługi opiekuńcze przyznawane przez MOPS. Tym sposobem wydłużamy dzieciom pobyt w placówce do 7-8 godz. i zapewniamy im niezbędną ilość zajęć terapeutycznych. A to już bardzo dużo – podkreśla Chwałek. Zajęcia odbywają się także w soboty. – W szkole realizowana jest podstawa programowa szkoły masowej, a organizacja i metody pracy są dostosowane do możliwości dziecka. Dodatkowo plan zajęć wzbogacany jest to o zajęcia specjalistyczne w ramach realizacji różnych projektów lub specjalistycznych usług opiekuńczych. Ich ilość uzależniona jest od pozyskanych środków finansowych – wyjaśnia wicedyrektor Niepublicznego Przedszkola i Niepublicznej Szkoły dla Dzieci z Autyzmem Alina Sucharzewska.

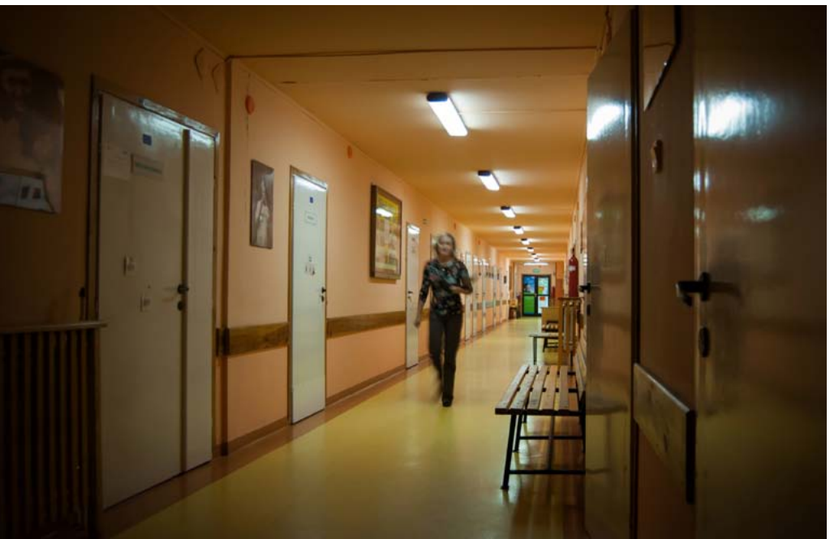

Każdy podopieczny ma ułożony indywidualny program edukacyjno-terapeutyczny i zawsze dostaje indywidualne wsparcie. Kadra pedagogiczna, terapeuci i pracownicy bialskiego ośrodka to osiemdziesiąt osób. Mało osób zdaje sobie sprawę, jak wygląda klasa dla dzieci z autyzmem. A takie klasy liczą nie więcej niż czworo dzieci, a nauczycieli jest po troje, czworo na oddział. Do tego dochodzą terapeuci, psycholodzy, logopedzi, terapeuci integracji sensorycznej, muzykoterapeuci i inni specjaliści.

Rosnące potrzeby

Pracownicy bialskiego ośrodka zabiegają

nie tylko o rehabilitację i różnorodne zajęcia na miejscu. Chcą włączać dzieci i młodzież autystyczną do społeczeństwa. Jak się okazuje, ludzie różnie na nich reagują. Jedni są wyrozumiali, ale inni próbują pouczać rodziców i opiekunów, że dziecko źle się zachowuje. Nie zawsze takich sytuacji da się uniknąć. Stąd pomysł, na którego realizację pozyskano pieniądze z zewnątrz. Jego celem jest integracja i propagowanie wiedzy o autyzmie. – Organizujemy naszym podopiecznym wyjścia do różnych sklepów, pizzerii czy na basen i uczymy ich adekwatnych zachowań społecznych. Oczywiście wcześniej staramy się przygotować pracowników tych miejsc na nasze wizyty, przedstawiamy możliwe scenariusze. Mamy już zaprzyjaźnione miejsca, gdzie nasze dzieci witane są życzliwie i z uśmiechem. To nas bardzo cieszy, ale wciąż próbujemy „oswajać" nowe – przyznaje Łukowska-Almaszy. Ma nadzieję, że kiedyś zmieni się nastawienie społeczeństwa do dzieci autystycznych. – Zrobimy, co się da, żeby tak się stało. Miarą rozwoju i dojrzałości społeczeństwa jest jego stosunek do niepełnosprawnych – mówi, a Chwałek dodaje: – Najbliższe lata poświęcimy na różnego typu akcje propagujące autyzm i przybliżające tę chorobę lokalnej społeczności. Myślimy na przykład o koncertach charytatywnych. To również mogłoby pomóc zebrać fundusze, jakie potrzebne są na wkład własny, umożliwiający stowarzyszeniu ubieganie się o fundusze unijne. Jest bowiem szansa, aby poprawić warunki lokalowe przedszkola i szkoły. W obecnej siedzibie przy ul. Pokoju zrobiło się ciasno. – Od września musieliśmy wydzierżawić dodatkowe pomieszczenia. W tym roku to wystarczy, ale w przyszłych latach może być już problem – przyznaje Chwałek. Liczy, że uda się skorzystać z propozycji prezydenta Białej Podlaskiej i zagospodarować teren po dawnym Zajeździe u Radziwiłła. – Dla nas byłoby to duże wyzwanie finansowe – przyznaje, nie ukrywając, że kierowane przez nią stowarzyszenie liczy na wsparcie samorządu i fundusze unijne. Na to jednak potrzebny jest wkład własny. – Robimy wszystko, by uzbierać potrzebne pieniądze – zapewniają we Wspólnym Świecie.

Radziwiłłowie byliby zachwyceni

tekst Renata Szwed
foto Mariusz Maksymiuk

Już w połowie października bialczanie będą mogli cieszyć się spacerami po zrewitalizowanym parku. Dawna rezydencja Radziwiłłów – za sprawą dofinansowania z Unii Europejskiej – zyska nowy blask i zapewne będzie jednym z ulubionych miejsc do wypoczynku. Kto dokona uroczystego otwarcia parkowej bramy i przecięcia wstęgi? To niespodzianka dla tych, którzy zechcą uczestniczyć w tej ważnej dla naszego miasta chwili.

Kilka miesięcy temu pełną parą ruszyły prace związane z rewitalizacją parku Radziwiłłowskiego w Białej Podlaskiej. Władze miasta uznały, że brakuje miejsca do spacerów i odpoczynku, i wystarały się o 3,5 mln zł unijnego dofinansowania projektu rewitalizacji zespołu parkowo-pałacowego oraz na inne działania inwestycyjne w śródmieściu. – Marzyłem o tym od wielu lat i w końcu to marzenie stało się faktem – cieszy się prezydent Białej Podlaskiej Andrzej Czapski i podkreśla, że zagospodarowanie parku Radziwiłłów obejmuje szereg prac budowlanych w otoczeniu zabytkowych obiektów. – Kiedy tylko mogę, zaglądam na plac budowy i sprawdzam, jak postępują prace. Serce rośnie, kiedy patrzę na to miejsce. Oby spodobało się mieszkańcom – liczy prezydent miasta.
Zakres prac, które dobiegają końca, obejmuje wnętrze dziedzińca pałacowego oraz bezpośrednio przylegający do niego obszar z nowoprojektowanym stylizowanym ogrodem barokowym. Powstaną nowe nawierzchnie, stylizowane ogrodzenie, atrakcyjna fontanna oraz ogród włoski i trawniki. Wszystkie alejki będą wysypane szutrem, krawężniki alejek zaprojektowane zostały z piaskowca. Placyk przed szkołą muzyczną to piaskowiec z polami wypełnionymi kostką granitową. Z kolei kamienny placyk przed biblioteką od strony południowej to kostka granitowa. Na placu z fontanną stanie podest kamienny z piaskowca z ozdobnymi pasami z płyt granitowych. Ogród włoski został zaprojektowany w formie kwater formowanych. Główne sadzonki to bukszpan, a pola do wypełnienia pokryte zostały sadzonkami dąbrówki rozłogowej, która stanowić będzie brunatne tło dla pozostałej zieleni. Na osi fontanny zaprojektowane będzie zamknięcie w formie labiryntu z żywopłotu. Ponadto zamontowanych będzie czterdzieści ozdobnych ławek oraz oświetlenie alejek. Wszystko z myślą o przyszłych spacerujących. Za kompozycje zieleni odpowiada spółka miejska „Zieleń". Do niej należy wykonanie systemu nawadniania trawników, kwater roślinnych, ogrodu włoskiego i labiryntu. Wykonawcą prac budowlanych jest bialskie Przedsiębiorstwo Wielobranżowe „Bial-Bud".

Z annałów historii zamku
Budowę zamku Radziwiłłów rozpoczęto w 1622 r. w miejscu siedziby dawniejszych właścicieli miasta. Był to jeden z pierwszych przykładów architektury siedzib magnackich, które z funkcji zamkowo-obronnych przekształcały się w kierunku pałacowo-rezydencjonalnych. Teren zamkowy otaczały bastiony ziemne i fosy, a od południa podmokła dolina Krzny. Od tej strony przylegał do niego również leśny zwierzyniec, w którym hodowano żubry, a nawet wilki i niedźwiedzie zamknięte w klatkach. Dotarcie do wewnątrz ufortyfikowanej siedziby umożliwiał most zwodzony nad fosą. Dalej gość przekraczał zachowaną do dziś barokową bramę, którą z wysoką wieżą bramną łączy tzw. szyja bramna – półkoliście wygięty korytarz. Jeśli ktoś chciałby zobaczyć, jak wyglądał Karol Stanisław Radziwiłł i jego małżonka Anna, powinien z bliska przyjrzeć się dwóm popiersiom zdobiącym bramę. W sześciokondygnacyjnej wieży i dobudowanych obiektach mieści się Muzeum Południowego Podlasia.
Dawny dziedziniec zamkowy wyznaczają dwie oficyny, gruntownie przebudowane w okresie międzywojennym: we wschodniej obecnie mieści się Miejska Biblioteka Miejska, w zachodniej Biblioteka Multimedialna „Barwna" i szkoła muzyczna. Z jednej strony dziedziniec flankuje niższe skrzydło zachodnie z wieżą w skrajnej części.
Bliźniacza wieża stoi również na wschodniej flance, gdzie nie ocalało skrzydło pałacowe.
Z samym pałacem, który wznosił się pomiędzy wieżami jeszcze w 2. poł. XIX w., wieże połączone były arkadami. W sąsiedztwie wschodniej wieży wznosi się kaplica zamkowa. Jej patronem jest św. Jozafat, którego relikwie przechowywano w kaplicy. Sam pałac znamy wyłącznie z rysunków i relacji, m.in. J.I. Kraszewskiego, który zapamiętał zrujnowaną już budowlę z lat szkolnych (lata 20. XIX w.): Sale stały ogromne, smutne, puste, zawalone potłuczonymi szkłami okien, ledwo ślady dawnego życia pisały się po murach w otłuczonych gipsach, w których lęgły się wróble („Obrazki z życia i podróży").
Z początkiem XIX w. rozpoczyna się upadek zespołu zamkowego, jego kolejni właściciele (Wittgensteinowie i Hohenloe) nie dbali o stan jego zachowania. Ostatecznie w 1888 r. pałac rozebrano na cegły (zbudowano z nich kamieniczki na placu Wolności). U wejścia na teren parku stoi kordegarda. Zbudowano ją w międzywojniu w stylistyce zachowanych obiektów zamkowych. Obecnie mieści się tu Galeria Podlaska.

Bohaterowie bialskich ulic

tekst i foto Elżbieta Pyrka

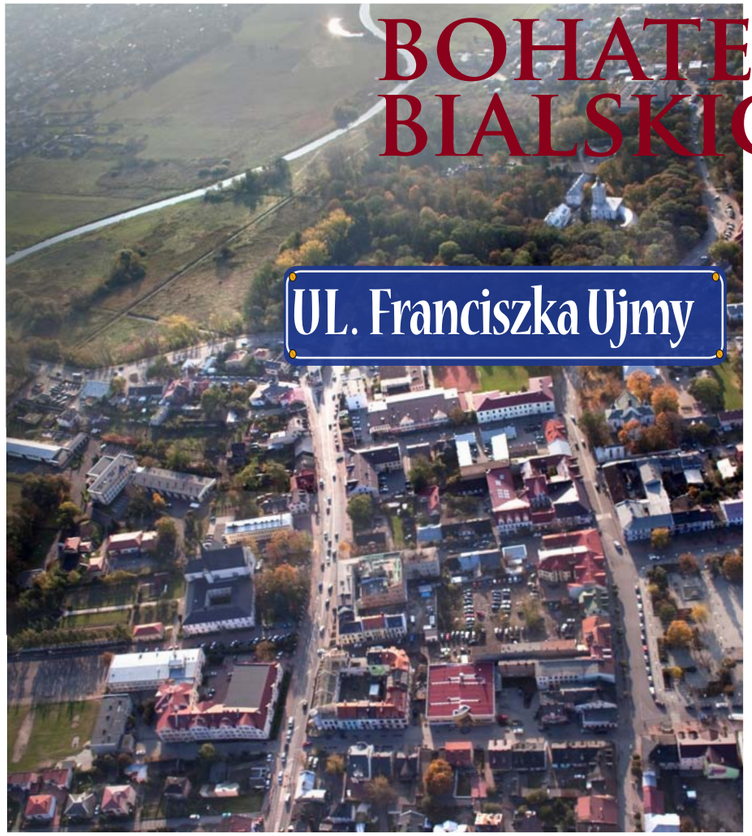

Wiele nowych ulic otrzymało nazwy, mające uhonorować zasłużonych dla miasta obywateli. Jedną z nich jest ulica Franciszka Ujmy, który swoją działalnością pedagogiczną, niezwykłą prostotą i skromnością oraz licznymi funkcjami społecznymi zapisał się w historii Białej Podlaskiej jako jeden z jej wybitniejszych obywateli.

Kim był patron ulicy położonej na zachodnim krańcu miasta, na północ od Warszawskiej? Przede wszystkim zapisał się w pamięci jako bardzo czynny i oddany sprawie harcerz. Urodził się w 1894 roku w Blachowni w powiecie częstochowskim, w rodzinie szlacheckiej. Pedagogiczne wykształcenie zdobył na Uniwersytecie im. Jana Kazimierza we Lwowie. Na początku studiów od Władysława Reymonta oraz od ojców Paulinów dowiedział się o Unitach Podlaskich i postanowił pracować pośród nich. W czasie rewolucji bolszewickiej spotkał w głębi Rosji grupę unitów, którymi się zaopiekował i przyprowadził ich do Polski.

Związek z harcerstwem
Od najmłodszych lat działał w harcerstwie polskim i od początku współpracował z Andrzejem Małkowskim, którego wraz z jego żoną Olgą Drahonowską-Małkowską, uważa się za symbolicznego założyciela harcerstwa w naszym kraju.
Franciszek Ujma w czasie I wojny światowej walczył o niepodległość Polski w legionach Józefa Piłsudskiego – w obronie Lwowa. Podczas wojny polsko-sowieckiej w 1920 roku całe harcerstwo wzięło udział w służbie wojskowej i pomocniczej.
Po odzyskaniu niepodległości władze państwowe w roku 1919 wprowadziły obowiązek powszechnego nauczania.
Ujma zaczął pracę zgodnie ze swoim wykształceniem i powołaniem pedagogicznym – najpierw od 1919 r. jako kierownik szkoły podstawowej w Mołczadzi, potem – w latach 1920-1923 w Słonimiu, w 1924 r. w Tucznej, a od 1925 r. do 1935 r. jako kierownik szkoły powszechnej w Horbowie. Tu włączył się w umacnianie kultu obrazu Matki Bożej Łaskawej (niewielki wizerunek Matki Bożej z Dzieciątkiem z XVI w. czczony przez miejscową ludność i słynący łaskami).

Działalność konspiracyjna
Od 1935 r. aż do 1968 r. Franciszek Ujma pracował w Szkole Podstawowej nr 4 w Białej Podlaskiej. Po wybuchu II wojny światowej w pierwszych dniach września 1939 r. organizował samoobronę i zabezpieczał archiwa szkoły i różnych innych organizacji. W okresie okupacji prowadził tajne nauczanie i konspiracyjną działalność zuchową, za co został aresztowany przez gestapo.
Mieszkając w Białej Podlaskiej, działał bardzo czynnie w ZHP. Do 1958 r. pełnił różne odpowiedzialne funkcje harcerskie. W wieku 74 lat przeszedł na emeryturę. Zmarł w 1983 r.
Za najważniejsze w życiu uważał wiarę, Ojczyznę i rodzinę, które to wartości przekazywał kolejnym pokoleniom uczniów, zyskując ich szacunek i uznanie.

kultura

CZAS NA NOWE ŻYCIE

z Ireneuszem Wagnerem, prezesem Klubu Literackiego Maksyma,

rozmawia
Radosław Plandowski

Od trzydziestu lat działa aktywnie w bialskim środowisku literackim i artystycznym. Spełnił się w wielu rolach, wciąż odkrywa nowe. Oprócz pisania stara się żyć godnie i uczciwie. Kilka tygodni temu wracał do Anglii, gdzie od jakiegoś czasu pracował jak jeden z wielu Polaków, jednocześnie pisząc nową książkę. W kraju zatrzymał go udar i leczenie. Teraz Ireneusz Wagner czeka na kolejne badania, niespodziankę nowego dnia i... ciągle pisze, bo do swojej największej pasji niezmiennie ma mnóstwo zacięcia.

Przez całe życie zajmowało cię wiele spraw i profesji. W jakiej roli odnajdujesz się dzisiaj najlepiej?
– Myślę, że każdy artysta ma wiele twarzy i trudno powiedzieć, kim jestem. Ciągle myślę o spektaklach i graniu w amatorskim teatrze, który założyłem 30 lat temu. Piszę też nadal scenariusze, więc jestem scenarzystą. Reżyserowałem swoje spektakle, więc jestem też reżyserem. Czuję się wreszcie pisarzem, eseistą, poetą. Mam wiele twarzy, a tuż obok tego jak cień jest przy mnie życie, które układa się lepiej lub gorzej. Jesteśmy po prostu na nie skazani, ale na pewno nie należy się załamywać, iść swoją drogą, mieć własne myśli i robić swoje. Pisać, tworzyć niezależnie od tego, co życie daje nam w darze.

Brzmisz ciągle jak optymista, natomiast różne bywały koleje twoich losów. Patrząc wstecz, uważasz, że miałeś w życiu szczęście, czy może prześladował cię pech?
– Kiedyś utożsamiałem się z poetami tragicznymi, a dzisiaj myślę sobie: cieszę się, że żyję, mam już niespełna 50 lat, otacza mnie wielu wspaniałych ludzi. Cieszę się, że wielu rzeczy w życiu dotknąłem, poznałem. Mam ręce, dwie nogi, jeżdżę rowerem, oddycham. Nie mogę być ze swojego życia niezadowolony. Popełniamy różne błędy w życiu, nikt nie jest doskonały, bo tu nie chodzi o doskonałość tylko spotkanie z drugim człowiekiem, szczerą rozmowę, spojrzenie mu w twarz, a przede wszystkim spojrzenie w twarz samemu sobie. We wszystkim trzeba być pogodzonym z samym sobą, żeby być pogodzonym ze światem. Trzeba umieć dotrzeć do siebie, aby dotrzeć do innych ludzi.

Zmieniłbyś coś w tym życiu?
– Przede wszystkim uczyłbym się języków i kształcił, bo niestety zabrakło mi samodyscypliny i silnej woli. Oprócz pracy zawodowej praktycznie całe życie poświęcałem literaturze, teatrowi. Dzięki temu zebrałem duże doświadczenie, ale pewnych rzeczy nie udało się pogodzić.

Powiedzmy, że masz 15, 16 lat, przed maturą i wszystkim dorosłymi decyzjami...
– Pewnie zrobiłbym to samo. Smakowałem wtedy nowych rzeczy, uprawiałem sport, chodziłem na wystawy, byłem ciekawy życia i ludzi, chciałem podróżować i poznawać świat, wszystko, co mnie otacza.

Pisanie – można powiedzieć, że jest to twoja największa pasja?
– Zdecydowanie tak. Cały czas piszę. Teraz leżałem dwa tygodnie w szpitalu i wypisałem kilka dużych zeszytów. Właściwie ze względu na chorobę i brak pracy zostaje mi życie i pisanie. Przede wszystkim ostatnio zajmuję się prozą.

Mówi się że pisarski rynek jest brutalny dla młodych, początkujących autorów, ale dla tych doświadczonych też chyba nie jest zbyt łaskawy?
– Obecne czasy dla nikogo nie są łatwe, szczególnie dla ludzi wrażliwych. Staram się patrzeć na ten pędzący świat z perspektywy metafizycznej. Julia Hartwig pisała o tym, że każdy się spieszy, przyroda i człowiek, nikt nie potrafi czekać. Strasznie szybko biegnie, nie wiadomo, za czym. Przede wszystkim ludzi omamia materia, nie czyta się książek, nie rozmawia z człowiekiem i tak naprawdę nie potrafimy się zatrzymać, oddychać świeżym powietrzem, czystością rzeczy niematerialnych.

Czy spełniły się marzenia kilkunastoletniego Irka?
– Przede wszystkim to były zupełnie inne marzenia o jakichś sukcesach sportowych. O mały włos nie trafiłem do liceum sportowego Legii Warszawa na lekką atletykę. Wtedy sportem żyliśmy wszyscy. Nie mieliśmy komputerów, dlatego graliśmy w piłkę, biegaliśmy.

Żałujesz tego świata, którego dzisiaj już nie da się odtworzyć?
– Oczywiście, nasze podwórkowe życie było zupełnie inne. Teraz wystarczy spojrzeć na dzieci, których brakuje przed blokami. Zamiast tego grają w gry komputerowe. Nam wystarczyła kałuża, kapsle, wyścig pokoju – proste zabawy.

W końcu ciebie też dopadła proza życia. Wyjechałeś do Anglii, gdzie jednak natchnienie cię nie opuściło...
– Gdziekolwiek bym był i cokolwiek robił, kawałek kartki i długopisu mi wystarczą. Pomysłów mam tysiące. W Anglii zacząłem pisać o Polakach na emigracji, o tym, co czujemy i jak żyjemy, czy mamy żal do kraju za tę sytuację.

Czyli raczej pesymistyczne wnioski pojawiają się w twojej najnowszej pracy?
– Paradoksalnie dzięki chorobie, która mnie spotkała, zatrzymałem się, trochę zwolniłem. Chcę jednak dalej pisać, spotykać z ludźmi, z którymi dawno się nie widziałem, tworzyć klub literacki, rozwijać się i promować literaturę wśród młodych ludzi.

Kiedy wracałeś do Anglii spotkała cię przykra sprawa zdrowotna, która zmusiła do pozostania w kraju. Może to jakiś znak? Wierzysz w takie rzeczy?
– Myślę, że coś w tym jest. Nadal interesuje mnie działalność artystyczna, oddycham tym i żyję co dnia. Zasypiając, planuję następne strony opowiadania czy scenariusza, ciągle mam nowe pomysły na eseje.

Pytam cię o te metafizyczne kwestie nie bez powodu. Swego czasu otarłeś się o służbę duchowną.
– Można tak powiedzieć. Przed metamorfozą rockandrollowca przeszedłem ścieżką zakonną. To mi teraz pomaga w spojrzeniu na świat, w pisaniu. Byłem ministrantem w klasztorze ojców kapucynów w Białej Podlaskiej. Dużo się modliłem, jeździłem na rekolekcje i wtopiłem się w ten klimat, czułem powołanie, więc wstąpiłem do klasztoru. A że bardzo kochałem wolność, to po paru latach wystąpiłem.

Żałujesz tego kroku z perspektywy czasu?
– Absolutnie nie. Lubię przestrzeń, otwarty świat. Chociaż niedawno myślałem o ucieczce przed światem, choćby nawet w Bieszczady. Wziąć duży wojskowy worek, spakować się, książki i dużo zeszytów do pisania i po prostu uciec gdzieś do prostej pracy, zamknąć się przed ludźmi na rok, dwa – nie wiem, zatrzymać się, wyciszyć i pisać. Wiem, że byłoby to bardzo nieodpowiedzialne, nie mogę sobie na to pozwolić.

Masz syna.
– Tak, też kocha wolność, czyta dużo książek, interesuje się filozofią, psychologią. Chciałbym z nim dużo rozmawiać, spędzać więcej czasu. Byłem z nim nieprzerwanie do 18. roku życia. Teraz chciałbym rozmawiać z nim jak z przyjacielem o tym, co chce robić w życiu, mimo że ja sam tego nie wiem.

Jesteś z niego dumny?
– Bardzo. Kiedyś uprawiał sport, a z racji tego, że moje plany się nie powiodły, chciałem żeby był sportowcem. Teraz zupełnie o tym nie myślę, wręcz go rozumiem. Zajął się rzeczami dla niego ważnymi.

Jak definiujesz pojęcie miłości?
– Przychodzi, odchodzi, ale teraz patrzę na to też trochę inaczej. Najważniejszy jest jednak drugi człowiek. Od kilku lat jestem

z kobietą, która bardzo dużo w życiu mi pomogła, wręcz postawiła mnie na nogi i wiem, że bez niej w tym ostatnim czasie chyba bym sobie nie poradził. Za słaby jestem psychicznie, żeby walczyć o swoje.

Czyli z jednej strony łakniesz samotności, ale wiesz jednocześnie, że całkowicie sam być nie możesz.
– Każdy z nas potrzebuje drugiego człowieka, miłości i czułości. Tak samo, jeśli my jej oczekujemy, powinniśmy dawać ją innym. To jest właśnie najważniejsze w życiu – mieć kogoś bliskiego, być z kimś. Nigdy nie jest za późno na nowe życie.

Chyba dużo podróżowałeś w życiu?
– Nie były to jakieś egzotyczne kraje, raczej europejskie, ale przede wszystkim dużo jeździłem po Polsce. Wtedy chyba wszyscy tak robili. Spałem w pociągach na krótkich trasach, chodziłem po dworcach, poznawałem ludzi. Kiedyś uciekłem nawet z wojska i pracowałem u badylarzy w Częstochowie, żeby mieć za co żyć. Potem był Jarocin i koncerty rockowe w Polsce.

Chciałbyś zostać już na zawsze w Białej?
– Chyba tak. To miasto zasługuje na fajne rzeczy. Na coś, co pozwoli szczególnie ludziom młodym, poznać jego inne oblicze. Bo nie jest tak, że nie mamy tutaj nic. Przede wszystkim mamy ludzi, a oni tworzą społeczność i historię.

Nie wydaje ci się, że ci młodzi ludzie raczej stąd wyjeżdżają niż pozostają?
– Małe miasto nigdy nie zastąpi dużego, gdzie jest pełno uczelni, muzeów, kin, teatrów. Tutaj nie ma na to pieniędzy. Mamy za to wspomnienia, bliskie osoby, przyjaciół, nasze relikwie. Jeżeli chcą coś osiągnąć, muszą wyjeżdżać i poznawać nowe życie. Oczywiście nie można nigdy zapomnieć o swoich śladach, miejscach i korzeniach. Wielu wybitnych ludzi stąd wyjechało, może zostając, też by coś osiągnęli, ale właśnie ucieczka pozwoliła im na jakiś kosmiczny lot w nową przestrzeń.

Co zrobić żeby zostali?
– To musi wypływać z każdego człowieka, ze środka. Nie zrobimy nagle z tego miasta Krakowa. Chociaż czemu miałby być tu Kraków? Róbmy swoje. Można tworzyć wielkie rzeczy, zapraszać artystów, pisarzy, aktorów, którzy mogą pokazać nam coś nowego, innego.

Można jeszcze zarazić młodych ludzi pisaniem?
– Myślę że tak, bo jednak nigdy komputer nie wygra z książką. Może tego nie widać, ale dużo ludzi czyta. Nie jest ich na pewno tyle, co uzależnionych od seriali i komputerów, ale to zależy od każdego człowieka, każdy decyduje osobiście. Znam wiele osób, które nie posiadają telewizora, wolą muzykę i książki, rozmawiają z przyjaciółmi. Z drugiej strony często jest tak, że idziemy do znajomych w odwiedziny, a oni włączają serial albo wiadomości, w których właśnie pokazują morderstwa, oszustwa i hipokryzję polityków. Nasz dom to nasze wnętrze. Kiedyś pisałem o tym, że „wnętrze człowieka jest największą religią świata". Na szczęście jest tak, że człowiek jest istotą rozumną i sam wybiera dla siebie to, co chce. Nienawidzę przymusu, kajdan, które się nakłada, abyśmy myśleli w określony sposób, wybierali takich a nie innych polityków, głosowali na partię tę a nie inną. Każdy z nas ma własną drogę życia, własne myślenie i to jest najważniejsze – wolność. Sami dla siebie musimy być wolnością, aby być nią dla świata i innych ludzi.

Kiedy możemy się spodziewać twojej najnowszej książki – wspomnień z Anglii?
– Najważniejsze jest życie, a obok niego trwa przy mnie literatura. Każda książka musi dojrzeć do wydania. Mam tego dużo: opowiadania, eseje i powieść. Wiadomo też, że istotne są finanse, które trzeba zdobyć. Myślę, że książka o Anglii ukaże się w następnym roku. Dołożę wszelkich starań, aby się ukazała.

Irek Wagner za 20 lat?
– Spokojny domek, może gdzieś na wsi, bujany fotel. Myślę, że będę otoczony książkami, zapiskami, muzyką i przyjaciółmi.

24 października w Klubie Kultury „Piast" Irek Wagner wraz z przyjacielem Andrzejem Wilbikiem będzie opowiadał o angielskich doświadczeniach i powstawaniu nowej książki podczas wieczorku zatytułowanego „Emigranci", w ramach XXIX Podlaskich Spotkań Literackich.

Przygody na polowaniu

FELIETON

tekst Edyta Tyszkiewicz

Bez żenady przyznam się, że swoje najlepsze ubrania kupuję w sklepach z tanią odzieżą. Nie w tych modnych w dużych miastach second handach, a w tych naszych, rodzimych ciuchlandach, szmateksach, czy jak tam je jeszcze nazywają. Oczywiście nie jestem jedyna, która chodzi na te popularne „przeszpery". Prawie wszyscy się do tego przyznają, ale znam też takich, którzy mówią o tym tylko szeptem albo w ogóle. Co nas ciągnie do tych dość chaotycznych, śmierdzących środkami do dezynfekcji sklepów? Wiadomo – cena, ale przecież nie tylko z biedy do nich zaglądamy, a raczej odzywa się w nas instynkt myśliwego, albo powiedzmy poszukiwaczki (lub poszukiwacza) skarbów. Idąc do szmateksu, wybieramy się tam, by przeżyć pewnego rodzaju przygodę, bo przecież nigdy nie wiemy, co danego dnia uda nam się upolować. Idziemy po bluzkę, a wracamy z sukienką, spodniami od dresu i jakimś T-shirtem. I co? I jesteśmy przez chwilę szczęśliwi.
Chociaż ja osobiście to jestem złym przykładem typowego ciuchowego klienta. Nie przepadam za grzebaniem w koszach, szperaniem między bezładnie przewieszonymi ubraniami. Nie lubię chaosu, dlatego wybieram te sklepy, w których jest jakiś porządek i logika. Jeśli chcę kupić bluzkę, przeszukuję wieszaki z bluzkami, jeśli sukienkę – to te z sukienkami, i tak dalej, Czasami, nie powiem, gdy mój wzrok zbłądzi i wyłapie coś nieplanowanego, ale mocno trafiającego w mój gust, chwytam to, mierzę i kupuję. To się nazywa złowić świetną okazję. Są jednak ludzie, których obserwuję z ogromnym zdumieniem. Szczególnie w dni przecen.
Wpadają tacy do sklepu, łapią koszyk i lecą po kolei. Wieszak za wieszakiem, kosz za koszem i ładują do tych swoich koszyków po brzegi, bo akurat jest po złotówce czy po dwa. I co z tego, że po złotówce, myślę sobie. Po co komu tyle tego? Tych koszulek, spodni, spódnic czy chustek na głowę. Jakież to szafy trzeba mieć, żeby to wszystko pomieścić? Bo przecież, niektóre osoby widuję za każdym razem, gdy w takim sklepie jestem. Za każdym razem, w ich koszach jest pełno, a wszystko odbywa się właściwie w milczeniu.
Wpadają, szperają, przymierzają, nikt się do nikogo nie odzywa, chyba że się przyjdzie z rodziną czy znajomymi. Idą do kasy, kupują i wychodzą. Ludzie, na tym swoistego rodzaju targowisku, nie nawiązują żadnych znajomości, ba nawet nie nawiązują kontaktu wzrokowego, co najwyżej zerkają na to, co kto właśnie złapał w swoje ręce. Tu się liczy tylko to, by być przed innymi i przechwycić to, co najlepsze.
Kiedyś, długo stojąc z koleżanką w kolejce do przymierzalni i porównując nasz skromny połów (zaledwie cztery sukienki) z tym, co miały panie przed nami, zadałam to samo pytanie. Po co komu tyle tego? Koleżanka odpowiedziała bez wahania: – Może na szmaty do podłogi? Myślałam, że trafiła, ale po minie sąsiadki, która odwróciła się do nas i obrzuciła nas dziwnym spojrzeniem, wywnioskowałyśmy, że to nie był strzał w dziesiątkę. Nie próbowałyśmy więcej zgadywać, więc do dziś nie do końca wiem, co robi się z taką ilością szmat, nie zawsze najlepszej jakości. Bo może tu nie o ilość czy jakość chodzi, a o to, o czym napisałam na początku. O chęć przeżycia jakiejś przygody, o ten dreszczyk emocji, który takim łowom towarzyszy. Może powinnam to zrozumieć, ja przeżywam swoje przygody na kartach moich i cudzych książek, a inni w sklepach ze szmatami.

Magia miłości

RECENZJA

Któregoś dnia znajoma powiedziała, że jesień kojarzy jej się tylko z czymś nieprzyjemnym, z jesienią życia, takim przedsionkiem śmierci. Zapewne jest w tym sporo prawdy, ale czy koniecznie jesień, jakakolwiek musi być smutna i nieprzyjemna. Jest taka książka, która pokazuje nam, że w jesieni życia nic nie musi się kończyć, wręcz przeciwnie – może się dopiero zaczynać. To „Rzecz o mych smutnych dziwkach" Gabriela Garcii Marqueza, genialnego kolumbijskiego pisarza, przedstawiciela realizmu magicznego, laureata nagrody Nobla. Na świecie powieść wydano w 2004 roku i została uznana, jak na razie słusznie, za ostatnią w życiu książkę pisarza. Pierwsza okładka zdawała się to potwierdzać. Umieszczono na niej odchodzącego w dal, przygarbionego staruszka. W 2012 roku brat pisarza przyznał, że ponadosiemdziesięcioletni Marquez cierpi na początki demencji, co oznacza koniec jego kariery pisarskiej.
Oryginalny tytuł książki brzmi „Rzecz o mych smutnych kurwach", ale polscy wydawcy, w obawie przed ciąganiem po sądach, zdecydowali się go zmienić.
Ta dość cienka książka nie ma już nic wspólnego z realizmem magicznym, ale jest poetycką historią o późnej miłości. Na drugiej stronie pierwszego rozdziału jest takie zdanie, które możemy odnieść do wielu spraw: – „Natchnienie ma to do siebie, że nie uprzedza". To fakt. Natchnienie artystyczne, natchnienie na zjedzenie czegoś konkretnego czy zrobienie czegoś niespodziewanego przychodzi nagle, zaskakując nas samych. Dokładnie tak jak zakochanie, spada na nas nagle, często wbrew zdrowemu rozsądkowi. Tak właśnie jest z miłością, która dopada głównego bohatera książki.
Dzień swoich dziewięćdziesiątych urodzin samotny felietonista, krytyk muzyczny i kawaler w jednej osobie pragnie uczcić w łóżku z dziewicą. W tych czasach to zadanie trudne, ale nie niewykonalne. Dawna przyjaciółka bohatera, od wieków prowadząca bardzo znany burdel, którego nasz bohater przez kilkadziesiąt lat był częstym gościem, nie oburza się na jego dość nietypową, a nawet niemoralną propozycję. Znajduje mu dziewicę – ubogą czternastolatkę.
Mimo to bohater targany nagłymi wątpliwościami próbuje się wycofać. W końcu ulega namowom dawnej przyjaciółki. Wydaje się, że pierwsze spotkanie dziewięćdziesięciolatka jest nieudane. Dziewczynka, zapewne ze stresu, zasypia. Jednak bohater nie narzeka, a ta noc całkowicie zmienia świat szacownego jubilata. Mężczyzna zakochuje się w dziewczęciu platonicznie i w dodatku pierwszy raz w życiu. Początkowo nie rozumie, jakie szczęście go spotkało, ale szybko zaczyna dziękować Bogu, że pozwolił mu doświadczyć prawdziwej miłości, pomimo że dopiero u schyłku jego życia.
Ta cieniutka powieść pomaga nam zupełnie inaczej spojrzeć na starych ludzi, pomaga zrozumieć, ile w nich jeszcze jest życia i emocji. Pomaga też zrozumieć, że na miłość nigdy nie jest za późno i nigdy nie wiadomo, kiedy nas trafi. Może nie musimy jej wyczekiwać, ale na pewno powinniśmy ją przyjąć, jeśli do nas przyjdzie.
„Rzecz o mych smutnych dziwkach" to nie jest niemoralna książka, nie ma w niej obscenicznych momentów. To zdecydowanie ciepła opowieść o starości, o ułomnościach, niepewności i prawdziwym uczuciu. To piękna powieść, którą czytałam z ogromną przyjemnością.

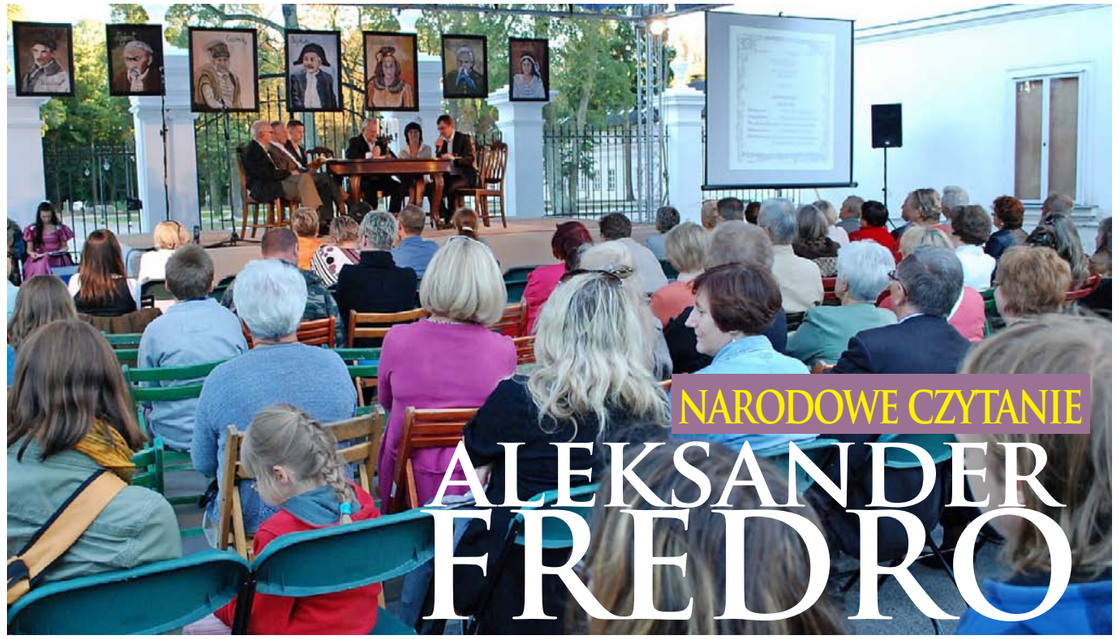

NARODOWE CZYTANIE ALEKSANDER FREDRO

foto Małgorzata Piekarska

Biała Podlaska włączyła się w ogólnopolską akcję publicznego czytania największych dzieł literackich, którą zainicjował w ubiegłym roku prezydent Bronisław Komorowski. Czytanie nazwane zostało narodowym, aby podkreślić jego powszechny i egalitarny charakter. Podstawowym celem przedsięwzięcia jest popularyzacja czytelnictwa, zwrócenie uwagi na potrzebę dbałości o polszczyznę oraz wzmocnienie poczucia wspólnej tożsamości.
W ubiegłym roku czytano epopeję narodową – „Pana Tadeusza" Adama Mickiewicza. W tym roku wybór padł na Aleksandra Fredrę, w związku z rocznicą 220-lecia urodzin znakomitego komediopisarza.
Biała Podlaska przyłączyła się do ogólnopolskiej akcji. Siódmego września, w sobotnie popołudnie Anna Leszczyńska, dyrektor Bialskiego Centrum Kultury, przywitała licznie zgromadzoną publiczność w imieniu organizatorów realizacji przedsięwzięcia, którego podjęły się miejskie instytucje kultury, tj. BCK, Miejska Biblioteka Publiczna i Muzeum Południowego Podlasia. Piękne obrazy postaci z „Zemsty" namalowała Renata Sobczak, a plansze Mieczysław Skalimowski.
Wszyscy uczestnicy imprezy, posiadający wydawnictwa z utworami Aleksandra Fredry, mieli okazję do opieczętowania ich pamiątkową pieczęcią.
Sobotnie spotkanie zakończył polonez oraz degustacja weselnego tortu Klary i Wacława. (red)

Utwory Aleksandra Fredry czytali:
„Paweł i Gaweł": Fryderyk Zdunkiewicz, Kacper Trocewicz, Jan Zdunkiewicz,
„Małpa w Kąpieli": Konstancja Skrodziuk,
„Osiołkowi w żłoby dano": Weronika Stańczuk,
„Zemsta"
Cześnik: Edward Burta, Andrzej Czapski, Grzegorz Michałowski,
Rejent: Adam Korszun, Stefan Siłaczewski, Henryk Szpura,
Papkin: Tadeusz Humin, Maciej Buczyński, Mariusz Podgórski, Mariusz Maksymiuk,
Postolina: Grażyna Poniatowska, Anna Kaliszuk, Halina Besaraba, Urszula Pietruczuk,
Wacław: Hubert Paszkiewicz, Adam Olesiejuk, Sebastian Ulita, Michał Litwiniuk,
Klara: Gertruda Matysek, Renata Szwed, Justyna Weremko,
Dyndalski: Henryk Buczyło, Marek Pietrzela,
Śmigalski: Filip Stańczuk,
Mularze: Lucjan Maliszkiewicz, Eugeniusz Szeszel,
Perełka: Tadeusz Kowalczuk.

Tekst Aleksandra Żylik,
foto Angelika Sygnecka-Garbacik

JESIENNE DNI

Ciepłe dzianiny, warkoczowe sploty, wzorzyste żakardy w połączeniu z gładkimi tkaninami. To jesienne propozycja bialskiej firmy odzieżowej Bialcon. Podczas pokazu zaprezentowane zostały także wzory na przyszły sezon wiosna-lato.

W sobotnie popołudnie 21 września w Hotelu Pałac Cieleśnica odbyła się prezentacja kolekcji jesień-zima 2013 i wiosna-lato 2014 marek Bialcon i Rabarbar. Przyjęcie promocyjne połączono z warsztatami rękodzielniczymi przeprowadzonymi pod okiem pracowników działów rękodzieła oraz projektowego bialskiej firmy. Uczestnicy warsztatów mogli obserwować proces tworzenia odzieży i dodatków wykorzystujących elementy rękodzielnicze oraz spróbować swoich sił w samodzielnym wykonaniu własnych projektów. Warsztaty tzakończyły się konkursem, podczas którego jury wyróżniło i nagrodziło autorki najciekawszych kreacji.
Był też pokaz mody. Na wybiegu bialskie modelki zaprezentowały odzież z kolekcji bieżącej, ale również trendy na przyszłe lato.
Na zimne jesienne dni Rabarbar proponuje swobodny casual – wzorzyste dzianiny, warkoczowe sploty oraz ciepłe, obszerne swetry. Marka Bialcon natomiast po raz kolejny prezentuje pełną wdzięku klasykę z wykorzystaniem ozdobnych żakardów i niebanalnych połączeń gładkich tkanin z wzorami.
Aby przeciwważyć stonowane barwy jesienno-zimowe, w prezentacji trendów na wiosnę-lato 2014 nie mogło zabraknąć nasyconych barw, wzorzystych deseni z motywami natury oraz zwiewnych, letnich tunik i sukienek.
Tak rysowały się wzory proponowane przez markę Bialcon. Natomiast propozycja Rabarbaru na nadchodzący sezon letni to powrót do naturalnych lnianych tkanin w nowoczesnej odsłonie. Ciekawe rozwiązania konstrukcyjne, luźny styl uliczny oraz nieszablonowe nadruki będą wyróżnikami kolekcji casualowej tej marki.
W odpowiedzi na etniczne wpływy Rabarbar stworzył również podkolekcję inspirowaną kulturą Kuby i Meksyku z wykorzystaniem wzorzystych, kwiatowych deseni oraz geometrycznych wzorów.

Na bialskim lotnisku pobito rekord Guinnessa

tekst Max Twardowski, foto Adam Trochimiuk

Czuć smród palonej gumy. W powietrzu unoszą się kłęby dymu. Niby nic takiego, a podnosi poziom adrenaliny u większości mężczyzn. Od dawna ludzie chcą pobijać rekordy, prześcigać innych. Biała Podlaska ma swój kolejny rekord Guinnessa. Znany rajdowiec Jakub Przygoński pobił średnią prędkość driftu. Próba nie przypadkowo odbyła się w naszym mieście.

Rekord pobił o ponad 34 kilometry na godzinę. Na tę okazję motocyklista, wielokrotny uczestnik Rajdu Dakar, przesiadł się za kierownicę prawdziwego potwora. Usiadł za sterami ponadtysiąckonnej Toyoty. Wynik, jaki osiągnął, zwalił z nóg wszystkich. Gdy na liczniku pojawiła się prędkość ponad 217 km/h, zgromadzeni na bialskim lotnisku dziennikarze wpadli w euforię. Byli tylko oni, bo ze względów bezpieczeństwa próba była niedostępna dla publiczności.

Najpierw walczył z deszczem

Próba pobicia rekordu do ostatniej chwili wisiała na włosku. Od kilkunastu godzin padało. Asfalt był mokry. Przygoński był pewien obaw. W takich warunkach dobry wynik był praktycznie niemożliwy, a nawet najmniejszy błąd mógłby zakończyć się tragedią. Na szczęście na dwie godziny przed rozpoczęciem przestało padać. Organizatorzy odetchnęli z ulgą. Teraz wszyscy czekali na to, czy asfalt zdąży wyschnąć. Odliczali kolejne minuty. Ostatecznie pas startowy nadawał się do rozpoczęcia próby. – Jeszcze rano bardzo się stresowaliśmy. Nie wiedzieliśmy, jak auto zachowała się podczas takiej aury. Gdy samochód wpada w poślizg, przy podmuchu wiatru może wypaść z trasy – opowiada Przygoński. Do ostatniej chwili o stan nawierzchni niepokoił się także sympatyczny Hindus Pravin Patel, który czuwał nad przebiegiem rekordowej próby.

Później walczył z samym sobą

Nasz bohater mógł w końcu zasiąść za stery prawdziwego motoryzacyjnego monstrum. Takim samochodem nie dałoby się wyjechać na ulicę. Do pobicia rekordu przygotowano specjalne auto. Pod maską Toyoty GT 86 znajduje się 1068 koni mechanicznych. Moment obrotowy auta to 980 Nm. Pojemność to aż 3,4 litra. Jednostkę napędową zmieniono na silnik Supry. Gdy doda się choć troszeczkę gazu, adrenalina rośnie do granic możliwości. – Podczas jazdy nie ma miejsca na błąd. Tutaj o sukcesie decyduje tylko kilka sekund – relacjonuje Jakub Przygoński.

Na rozgrzewkę kierowca ścigał się z... wysłużonym polskim odrzutowcem – Iskrą TS-11. Bialczanie bardzo dobrze go pamiętają. Gdy prężnie działała jednostka wojskowa, właśnie tę maszynę codziennie można było obserwować na niebie. Przygoński okazał się lepszy od pilotowanego przez płk pil. Jerzy Lenia samolotu. Na punkcie pomiarowym miał 233 km/h. Toyota w tym samym miejscu osiągnęła 250 km/h.

Zawonik Orlean Teamu, podbudowany zwycięstwem, przystąpił do pobicia rekordu Guinnesa. Miał na to trzy próby. W ostatniej udało się mu uzyskać niewyobrażalną prędkość ponad 217 kilometrów na godzinę. Trwało to chwilę, ale wrażenia były niesamowite. A wszystko to tylko dla spełniania swoich pasji...

Teraz ktoś musi powalczyć z nim

Jakub Przygoński otrzymał specjalny certyfikat potwierdzający pobicie rekordu, który od czerwca należał do Niemca Alexa Graefta i wynosił 183,33 km/h. Aby pobić wyśrubowaną prędkość, należy zbudować jeszcze szybszą maszynę i znaleźć jeszcze lepszego kierowcę, ale nie jest to zmartwienie Polaka. 28-letni motocyklista, który w 2010 roku zajął 10. miejsce w Rajdzie Dakar, ma teraz swoją chwilę tryumfu. Kibicujemy mu bardzo, bo o swoje marzenia walczył w Białej Podlaskiej.

Co to jest drift?

To technika jazdy samochodem w kontrolowanym poślizgu. – Jest popularna od ponad dziesięciu lat. Podczas driftowania tworzą się dodatkowe „efekty specjalne", takie jak dym palonej gumy i pisk opon – opowiada Leszek Kurnicki, dyrektor marketingu firmy Orlen, która jest głównym sponsorem Jakuba Przygońskiego.

Gwiazdy królowej sportu w Białej Podlaskiej

tekst Max Twardowski, foto: Anrzej Koziara, archiwum

Paweł Fajdek, aktualny mistrz świata w rzucie młotem, był największą gwiazdą finału polskiej ligi lekkoatletycznej, który ostatniego dnia sierpnia rozegrano w Białej Podlaskiej. Zawody odbyły się na pachnącym nowościom, zmodernizowanym stadionie Wydziału Wychowania Fizycznego.

Na uczelnianym obiekcie wymieniono prawie wszystko. Są nowe krzesełka, nowa nawierzchnia, odnowione trybuny oraz gigantyczna tablica wyników. To wszystko oraz znakomita pogoda zachęciła do przyjścia na stadion wielu kibiców, którzy mogli podziwiać najlepszych polskich lekkoatletów. Zachwycony nowym obiektem był prezes Polskiego Związku Lekkiej Atletyki Jerzy Skucha. Być może przez to w przyszłym roku będziemy organizatorami indywidualnych mistrzostw Polski. Już raz rozegrano je w Białej Podlaskiej. Odbyły się one przed ośmioma laty.

Najwięcej radości fanom królowej sportu dał Fajdek. Nie stracił on formy, którą prezentował na światowym czempionacie w Moskwie. W najlepszej próbie rzucił tylko dwa metry krócej niż w mistrzowskiej próbie.

Zawodnicy AZS AWF Biała Podlaska aż czterokrotnie stawali na podium. Był to wyjątkowy start dla olimpijczyka – Przemysława Czajkowskiego, który po raz ostatni wystąpił w barwach naszego klubu. Zakończył go znakomicie. Rezultatem 62 metry i 64 centymetry wygrał konkurs rzutu dyskiem.

W klasyfikacji klubowej akademicki klub zajął siódme miejsce. Tryumfował AZS AWF Kraków, przed AZS AWF Warszawa i Podlasiem Białystok.

Najlepsze rezultaty bialczan

Bieg na 200 metrów mężczyzn
3. Paweł Stempel (AZS AWF Biała Podlaska) – 21,62 (najlepszy rezultat w sezonie)

Rzut dyskiem kobiet
3. Małgorzata Raciborska (AZS AWF Biała Podlaska) – 50,41

Skok w dal mężczyzn
1. Marcin Starzak (AZS AWF Biała Podlaska) – 7,69

Herbata z bąbelkami

tekst i foto Małgorzata Tymoszuk

Bubble tea? Herbata z bąbelkami? Dlaczego nie?! Swoją karierę rozpoczęła jako napój sprzedawany na straganach nocnych barów w Tajwanie, a teraz jest już dostępna w Białej Podlaskiej.

JuiceCoffee, choć nazwa tego w ogóle nie sugeruje, to właśnie to miejsce. Z początku mijałam je beznamiętnie, a dziś, by się tam znaleźć, szukam pretekstów. Mimo krótkiej obecności na Placu Wolności pod numerem 2 – radzi sobie naprawdę znakomicie.
Uwielbiam zapach JuiceCoffee i od pierwszego wrażenia czuję, że włożono w to miejsce masę miłości i pasji. Lokal jest w stanie pomieścić 16 osób, które docenią świetny, minimalistyczny wystój z akcentem srebra i fuksji. Na dworze można również przysiąść w ogródku kawiarnianym. A gdy chłodniej, otulimy się w mięciutki i ciepły pled.
Przez cały tydzień od godz. 9.00 do 21.00 można się posilić doskonałym deserem i podnieść ciśnienie wspaniałą kawą i herbatą. Dla „witaminożerców" znajdzie się szeroka gama soków o pojemności 300 ml, piłam „Energię" – połączenie pomarańczy, jabłka, truskawki i czegoś tam jeszcze przepysznego. Dla odstresowania polecam „Antysters" (jabłko, truskawka, banan, ananas). Istnieje możliwość skomponowania własnej bomby witaminowej (cena: 8 zł). Ale przede wszystkim należy się „zabbubluwać". Ale po kolei...
Co się właściwie kryje pod nazwą buble tea? Jest to napój przygotowany na bazie herbaty zielonej lub czarnej z dodatkiem syropu i umieszczonych na dnie wyjątkowych kulek boba, które nie są niczym innym jak bąbelkami powstającymi z soków owocowych. Jeszcze jedną bazą do herbaty jest mleko, wówczas personel proponuje do kompozycji kuleczki jogurtowe.
Składając zamówienie, należy wybrać: 1) bazę napoju, 2) syrop (wśród smaków dostępna jest m.in. pomarańcza, kumquat, truskawka, liczi oraz melon – to moja ulubiona baza), 3) kulki boba o smaku m.in. mango, truskawki, marakui, kiwi i liczi.
Wybór jest przeogromny i tylko my decydujemy, co z czym chcemy pić, aby powstała niepowtarzalna tęczowa herbata, która w ogóle nie przypomina tej, którą zazwyczaj spożywamy. I do wyboru i do koloru.
Największą radość wzbudza polowanie na okrągłe kulki: zasysanie i wyciąganie ich słomką z dna kubka. A kto z nas nie kocha żelków? Ale wcześniej trzeba się tam dostać... Jak? Wbijając grubaśną, kolorową słomkę prostopadle do powierzchni naciągniętej folii na wieczku kubka. Instrukcja: zamaszyście, jakby przebijało się sztyletem serce niewiernego kochanka/kochanki. A potem czeka nas już tylko eksplozja smaku. Kulki przypominają swoim wyglądem gigantyczny kawior kuchni molekularnej, przegryzione tryskają słodkością.
Kubki o pojemności 400-500 ml (w cenie 8 zł) są szczelnie zamykane za pomocą specjalnej folii aluminiowej (dzięki futurystycznej maszynie foliującej kubek przed wcześniejszym shakowym zmiksowaniem płynu), chroniącej przed wylaniem oraz utratą świeżości. To oryginalny patent Tajwańczyków, którzy przewożą herbatę na skuterach.
Rozkosznie zimna bubble tea była wspaniałym dopełnieniem słonecznych, letnich dni. A co nas czeka w pochmurne dni października i kolejnych miesięcy? Nadal zachwycająca buble tea, tylko już serwowana bez lodu, a w temperaturze pozwalającej się rozgrzać. Wkrótce serwowane będą aromatyczne czekolady na gorąco, a przy pierwszych zapłakanych i oszronionych dniach jesieni pojawi się (już się nie mogę doczekać) podobno genialnie przyprawiony grzaniec. Ja już nie boję się zimy.

Tekst Małgorzaty Tymoszuk z poprzedniego wydania "Pryzmatu" o barze Kaśka, został wyróżniony w konkursie „Recenzent kulinarny" magazynu „Zwierciadło", czyniąc bar Kaśka miejscem godnym polecenia na kulinarnej mapie Polski.

W zawieszeniu – czyli trening z użyciem TRX

tekst
Sebastian Tarnowski
Fabryka Ciała Sport Club
w Białej Podlaskiej
foto archiwum

TRX to wymyślony przez amerykańskiego komandosa przyrząd do ćwiczeń, który zrewolucjonizował amerykański rynek i został okrzyknięty najlepszym sprzętem do treningów w roku 2010 przez miesięcznik „Men's Health". Jest już dostępny w Białej Podlaskiej.

Wynalazcą TRX nie był żaden naukowiec czy grupa badawcza. Jego historia sięga ćwiczeń zapoczątkowanych przez Marines, elitarnej jednostki wojskowej USA, którzy często zmieniali miejsce misji, przebywali na statkach i nie zawsze mieli dostęp do sprzętu treningowego, a co wżniejsze, przestrzeń do ćwiczeń była bardzo ograniczona. Chcąc pozostać w dobrej formie, Randy Hetrick zaczął używać kilku pasów spadochronowych połaczonych karabinkami, początkowo do podciągania się. Po powrocie do kraju dopracował liny i opatentował. Z czasem ćwiczenia ewoluowały, podobnie jak sam TRX. Dzisiaj TRX to przyrząd, który zrewolucjonizował amerykański rynek i jest wykorzystywany przez żołnierzy armii USA, policję, sportowców i entuzjastów fitnessu.

Czym jest TRX
To system profesjonalnych lin wyposażony w zaczepy, regulację i uchwyty. Wykorzystuje masę ciała ćwiczacego oraz grawitację, aby stworzyć opór podczas ćwiczeń. Przyrząd pozwala wykonać ponad 750 różnych ćwiczeń na wszystkie partie mięśniowe. Ćwicząc na nim, poprawiamy nie tylko siłę mięśni i wytrzymałość, ale także stabilność stawów, zwiększamy mobilność i co najważniejsze: ćwiczymy wszystkie mięśnie gorsetu mięśniowego, a przede wszystkim mięśnie brzucha. Główną zaletą takiego treningu jest praca nad mięśniami korowymi – głębokimi, odpowiedzialnymi za prawidłową równowagę. Każdy, kto ma do czynienia z szeroko pojętym fitnessem czy siłownią, powinien włączyć w swój plan treningowy liny TRX.
Często moi klienci mówią, że po treningu czują takie mięśnie, których tej pory nie trenowali. Czasem skarżą się na zakwasy, z którymi nigdy nie mieli do czynienia. Świetnym przykładem jest sytuacja, gdy do grupy dołącza osoba, która ćwiczy kilka lat. Po godzinie wspólnego treningu zakochuje się w ćwiczeniach i wraca ponownie, zdając sobie sprawę, że trening z TRX jest świetnym uzupełnieniem ćwiczeń na siłowni.

Wykorzystać własną wagę
Specjalnie wyszkoleni i certyfikowani instruktorzy TRX prowadzą treningi grupowe, personalne i rehabilitacyjne. W Polsce przyrząd ten zaczyna być coraz bardziej doceniany. Podobnie jest w Białaj Podlaskiej. Od kilku miesięcy Fabryka Ciała Sport Club w Białej Podlaskiej oferuje treningi grupowe z linami TRX. Jest to trening w małych, komfortowych 11-osobowych grupach, skierowany zarówno dla kobiet i mężczyzn. Nie jest istotny poziom wytrenowania – z zajęć może skorzystać każdy. Podczas ćwiczeń pracujemy z własnym obciążeniem, jakim jest nasze ciało. Odpowiednie ustawienie punktu podparcia (stopy, kolana, dłonie) oraz przemieszczanie ciężaru ciała powoduje zróżnicowanie obciążenia i ustalenie poziomu trudności. Dodatkową zaletą jest możliwość zmiany ćwiczenia czy pozycji w mniej niż 15 sekund. Na sali często ćwiczą osoby młode, wysportowane razem z osobami starszymi, ze słabszą kondycją, czerpiąc takie same korzyści z treningu. Ogromną zaletą tego rodzaju zajęć jest możliwość szerokiego wykorzystania ćwiczeń wielostawowych, czyli takich, w których podczas wykonywanych ruchów pracuje całe nasze ciało. Oprócz wzmacniania mięśni, pracujemy również nad koordynacją nerwowo-mięśniową. TRX to doskonałe odzwierciedlenie powiedzenia „Ćwiczymy, nie machamy".

Ćwiczenia dla wszystkich
Często mam pytania czy trening TRX jest dla wszystkich. Odpowiedź jest prosta: tak. Mam klientów, którzy przychodzą z własnymi dziećmi, małżeństwa, jak i osoby z problemami ze stawami, kręgosłupem. Nie ma żadnych przeciwskazań, ponieważ każde ćwiczenie da się wykonać w bezpieczny sposób.
Prowadzę również zajęcia z bialskimi zawodnikami MMA z Okniński Team. Oni również docenili wszechstronność i zalety TRX. To wszystko dowodzi, jak potrzebny i dobry dla ciała jest trening w podwieszeniu. Jeżeli jeszcze nie miałeś do czynienia z linami TRX, masz szansę skorzystać z nich u nas w mieście. Na terenie naszego województwa, tylko w Białej Podlaskiej oferujemy treningi grupowe TRX dostępne dla wszystkich.

Doceniajac zalety TRX, korzystam z niego nawet podczas wyjazdów, mówiąc znajomym, że siłownię zabieram ze sobą. Czasem można mnie spotkać na placu zabaw przy Szkole Podstawowej nr 2, gdzie korzystam z TRX na świeżym powietrzu. Uważam, że każdy powinien spróbować tego rodzaju treningu.

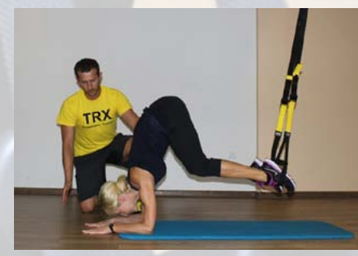

KRESKA Z MIGAWKĄ NA WAKACJACH

tekst Paweł Sobczak
foto Małgorzata Piekarska

Praca twórcza, szlifowanie umiejętności, ale również zwiedzanie – na tych zajęciach upłynęły członkom kół plastycznego Kreska i fotograficznego Migawka z Bialskiego Centrum Kultury letnie warsztaty „Dolina Bugu" w Drohiczynie.

Tegoroczne letnie warsztaty mieliśmy w Drohiczynie, gdzie spędziliśmy dziesięć dni, oddając się pracy twórczej i innym wszelakim uciechom ducha. Korzystaliśmy z gościnności państwa Grażyny i Sylwestra Adamczuków.
Czas wypełnialiśmy nie tylko malując i fotografując. Przeszliśmy wiele dróg w blasku zachodzącego słońca, oczyma pochłanialiśmy wszystko, czym dzieliła się z nami natura, a także zwiedzaliśmy lokalne zabytki, muzea i obiekty sakralne. Mieliśmy przyjemność zwiedzić zespół pałacowo-parkowy w Korczewie oraz Muzeum Rolnictwa im. księdza Krzysztofa Kluka w Ciechanowcu. Tam zobaczyliśmy ślady pozostawione przez ząb czasu na maszynach, które niegdyś służyły ludziom, piękne przedmioty domowego użytku oraz pisanki.
Wypady w takie miejsca nierozerwalnie wiązały się z narastaniem nastrojów sprzyjających głębokiej refleksji. Kadra, czyli Renata Sobczak i Małgorzata Piekarska, fenomenalnie organizowała nam czas i ukierunkowywała nasze siły na konkretne działania twórcze.

Przez te dziesięć dni bardzo zżyliśmy się z sobą. Wspólnie razem pracowaliśmy, odpoczywaliśmy, uczyliśmy się i bawiliśmy. Szukaliśmy drohiczyńskich skarbów. Nie zabrakło też akcji plastycznych z taczką w roli głównej, eksperymentowaliśmy z zakresie body painting, szukaliśmy ciekawego wykorzystania przestrzeni oraz przedmiotów użytkowych, np. krzeseł. Obserwując świat fauny drohiczyńskiej a jednocześnie zaznajamiając się z twórczością Juliana Antonisza, szukaliśmy twórczych rozwiązań w zakresie instalacji przestrzennych. Kręciliśmy też własne, autorskie filmy.
Szybko poznaliśmy tę małą nadbużańską miejscowość i jeszcze szybciej polubiliśmy jej nastrój i życzliwość mieszkańców, toteż gdy nadszedł czas wyjazdu, żegnaliśmy Drohiczyn z niemałym żalem. Jednak każdemu z nas zostaną w pamięci godziny spędzone na poskramianiu kartki pędzlem, uchwytywaniu ciepłego światła obiektywem aparatu fotograficznego. Chwile skąpane w promieniach wschodzącego słońca, chwile owiane wilgotnym wiatrem wiejącym znad Bugu. No i pyszne obiady. ”

październik | październik | październik | październik

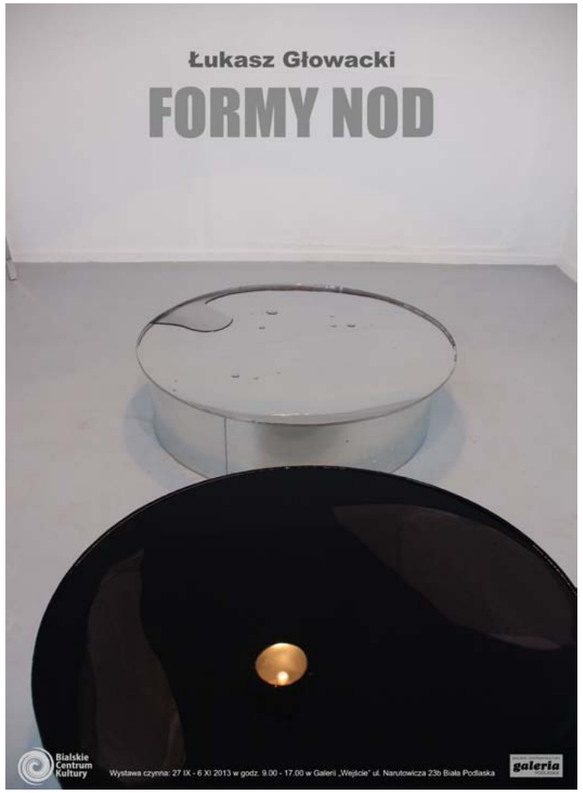

Więcej informacji o bieżących imprezach na **www.facebook.com/pryzmat**

październik | październik | październik | październik

Grunt to rodzinka

foto Adam Trochimiuk

Pierwsza niedziela września upłynęła w Białej Podlaskiej w rodzinnej atmosferze. Zadbali o to Miejski Ośrodek Pomocy Społecznej, wolontariusze z Centrum Wolontariatu przy Ośrodku Misericordia Caritas oraz Bialskie Centrum Kultury, w siedzibie którego odbyła się impreza „Grunt to rodzinka". Atrakcji organizatorzy zapewnili co niemiara. Oprócz konkursów, zabaw ruchowych, muzycznych i plastycznych, były liczne występy. Uczestnikom śpiewali wokaliści z zespołu wokalnego Chwilka oraz Andrzej Korycki i Dominika Żukowska, którzy zaprezentowali piosenki żeglarskie i ballady rosyjskie. Z pokazem wystąpili także tancerze z Klubu Tańca Towarzyskiego Aida. Dla wszystkich były ciepłe kiełbaski i bigos oraz słodycze.
Impreza była dofinansowana z realizowanego przez bialski MOPS unijnego projektu „Dzieci! Mam pracę. Promocja integracji społeczno-zawodowej w Białej Podlaskiej". (red)

Międzynarowowo w Staszicu

W połowie września młodzież z Bułgarii, Belgii i Włoch w ramach projektu Comenius „Unissons les cultures – Łączmy kultury" odwiedziła Białą Podlaską. Gości powitali uczniowie i nauczyciele IV Liceum Ogólnokształcącego im. S. Staszica. Podczas całego tygodnia odbyło się wiele spotkań, warsztatów i dyskusji poświęconych tematowi przewodniemu polskiej części projektu, czyli systemowi edukacji. Oprócz obserwacji zajęć szkolnych, w programie znalazły się takie atrakcje jak wizyta w Stadninie Koni w Janowie Podlaskim, lekcja przyrody w Serpelicach połączona ze zwiedzaniem nadbużańskich terenów, warsztaty edukacyjne w Hołownie na temat dawnych polskich zawodów, tradycyjnych sposobów uprawy zbóż oraz pieczenia chleba.
Zagraniczni goście poznali też genezę polskiego narodowego tańca – poloneza i nauczyli się podstawowych układów. Mieli również możliwość spróbowania najbardziej typowych potraw kuchni polskiej.
Prezydent miasta Andrzej Czapski podczas spotkania z młodzieżą wyraził nadzieję, że będą oni w swoich krajach ambasadorami Polski, a w szczególności Białej Podlaskiej. Część zagranicznych gości przyznała, że chętnie skorzysta z zaproszenia, jakie otrzymała od polskich rodzin. Z kolei bialczanie w marcu przyszłego roku wyjadą do Bułgarii, a w maju do Belgii. (red)

FANtastyczny tydzień w Barwnej

Barwna Multimedialna Biblioteka dla Dzieci i Młodzieży w dniach 9-14 września zapewniła mieszkańcom Białej Podlaskiej wiele atrakcji i niezwykłych wydarzeń.
Działania były realizowane w ramach projektu „FANtastyczna biblioteka w REALu" dofinansowanego ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. 10 września w bibliotece gościł pisarz książek fantastycznych Jakub Ćwiek. Spotkanie miało niezwykle oryginalny charakter, ponieważ poprzedzone zostało występem zespołu rockowego The Zepsół – Formacja Łupieżcza.
Był też dzień filmowy, podczas którego oferta skierowana była przede wszystkim do młodzieży. Można było obejrzeć i podyskutować o głośnym filmie Jana Komasy „Sala samobójców". Młodzi ludzie, lubiący rywalizację, mogli sprawdzić swoje umiejętności w dniu gier wszelakich i zmierzyć się w rozgrywkach na PlayStation, komputerowych oraz planszowych. Wyjątkowym wydarzeniem była sesja gier przygodowych RPG prowadzona przez profesjonalistę.
Zwieńczeniem fantastycznego tygodnia był bal, tym razem skierowany do młodszych czytelników. Okazało się, że nie tylko bibliotekarze Barwnej lubią się przebierać, ale także uczestnicy imprezy pojawili się w ciekawych strojach.
Ostatnim punktem programu był występ komika-iluzjonisty Konrada Modzelewskiego, który zachwycił zarówno dzieci, jak i dorosłych. Magiczne sztuczki przyciągnęły ponad 200 osób, tego w Barwnej jeszcze nie było. (red)

Święto patrona i mieszkańców

tekst Renata Szwed
foto: Małgorzata Piekarska, Mariusz Maksymiuk

Ostatni weekend września to w Białej Podlaskiej szereg imprez, uroczystości i koncertów. Wszystko po to, by uczcić patrona miasta – św. Michała Archanioła. Bialczanie mieli okazję udziału w wielu ciekawych wydarzeniach. Uhonorowano też zasłużonych i wyjątkowych bialczan.

Tradycją stało się rozpoczęcie świętowania uroczystą mszą odpustową w intencji mieszkańców miasta odprawioną pod przewodnictwem biskupa Antoniego Dydycza w kaplicy św. Michała Archanioła przy ulicy Pokoju.

Uczczono rocznice

W sali konferencyjnej magistratu miała miejsce uroczysta sesja rady miasta. Zdominowały ją dwa wydarzenia – nawiązanie do historii bialskiego Cechu Rzemieślników i Przedsiębiorców, który obchodzi w tym roku 95-lecie istnienia, oraz obchody 150. rocznicy powstania styczniowego. Uczestnicy sesji mieli okazję wysłuchać koncertu chóru Echo Podlasia pod kierownictwem artystycznym Waldemara Mazura.

Historię Bialskiego Cechu Rzemieślników i Przedsiębiorców przybliżył zebranym Zenon Śledź, podstarszy cechu, zaś krótki program artystyczny zaprezentowali uczniowie szkoły rzemieślniczej. Temat powstania styczniowego na ziemi bialskiej przybliżyła zebranym prelekcja Michała Zaniuka, regionalisty i pasjonata historii. Wielkim aplauzem publiczności nagrodzono laureatów konkursu krasomówczego „Potyczki krasomówcze w 150. rocznicę powstania styczniowego na ziemi bialskiej", zorganizowanego z inicjatywy Koła Bialczan, przy wsparciu urzędu miasta i miejskich instytucji kultury.

Nagrodzono zasłużonych

Konkurs adresowany był do młodzieży gimnazjalnej i licealnej, a podczas sesji zaprezentowali się jego zwycięzcy: Katarzyna Kapinos, uczennica Publicznego Gimnazjum nr 3 (obecnie uczennica I LO im. J.I. Kraszewskiego), przygotowana przez nauczycielkę Iwonę Rożnowicz, Karol Matejuk, uczeń Publicznego Gimnazjum nr 2 (nauczyciel Leszek Zieliński), Paulina Murdzek, uczennica IV LO im. S. Staszica (nauczyciel Beata Samojluk). Koordynatorem konkursu była Maria Skonieczna z Koła Bialczan. Podczas sesji przyznano również tytuł Zasłużony dla Miasta Biała Podlaska, który w tym przyznano dr. Piotrowi Karwowskiemu, dyrygentowi chóru Schola Cantorum Misericordis Christi.

Z kolei dzień później w sali widowiskowej Bialskiego Centrum Kultury podczas gali finałowej rozstrzygnięto konkurs Wyjątkowa Bialczanka. Tytuł ten w tym roku otrzymała Anna Chwałek, prezes Stowarzyszenia Pomocy Młodzieży i Dzieciom Autystycznym oraz Młodzieży i Dzieciom o pokrewnych zaburzeniach Wspólny Świat.

Atrakcje dla mieszkańców

Na bialskim Placu Wolności trwał Jarmark Michałowy. W programie były m.in. wystawa i kiermasz sztuki ludowej, pokazy rzemiosła i degustacja regionalnych potraw. Zorganizowano także V Sztafetowe Biegi Michałowe, a publiczności prezentowały się zespoły GOK i kapele Klawa Ferajna, Podlasiacy i Fakiry z Piotrkowa Trybunalskiego. Piątkowy wieczór zakończyła instalacja Łukasza Głowackiego w Galerii Wejście przy Narutowicza.

Sobota to ciąg dalszy atrakcji – Jarmark Michałowy na placu Wolności. W warsztacie Autosfera przy Sidorskiej zorganizowano ciekawe przedsięwzięcie nazwane „Nocne Zmiany". Było to spotkanie ze sztuką. Swoje prace zaprezentowali Magda Wójcik, Marek Jędrych i Adam Korszun. Widzowie mieli okazję wysłuchać koncertu zespołu jazzowego White Underforest.

Finał dni patrona to niedzielny koncert w amfiteatrze. Na scenie zaprezentowały się zespoły Bialskiego Centrum Kultury oraz Miejska Orkiestra Estradowa z białoruskich Baranowicz. Gwiazdą wieczoru była Jula, która zyskała popularność w ubiegłym roku hitem „Za każdym razem".

ORGANIZATOR:
Bialskopodlaskie Stowarzyszenie Jazzowe

WSPÓŁORGANIZATOR:
Urząd Miasta Biała Podlaska

19-20 października
Aula AWF ul.Akademicka 2
Biała Podlaska 2013

12. Podlasie Jazz FESTIVAL INTERNATIONAL

PATRONAT HONOROWY:
Prezydent Miasta Biała Podlaska
Starostwo Powiatowe w Białej Podlaskiej

DYREKTOR FESTIWALU: Jarek Michaluk

BILET 40 ZŁ sobota 19 października, godz.18.00

PIOTR SCHMIDT ELECTRIC GROUP
Piotr Schmidt - trąbka **Tomasz Bura** - klawisze /UK/
Michał Kapczuk - gitara basowa **Sebastian Kuchczyński** - perkusja

KRYSTYNA STAŃKO
Krystyna Stańko - śpiew **Dominik Bukowski** - wibrafon
Ireneusz Wojtczak - saksofon **Piotr Lemańczyk** - kontrabas
Cezary Konrad - perkusja

KARNET 60 ZŁ

niedziela 20 października, godz.18.00 BILET 40 zł

BEATA PRZYBYTEK
Beata Przybytek - śpiew **Bogusław Kaczmar** - piano
Adam Kowalewski - kontrabas **Arek Skolik** - perkusja

SBB
Józef Skrzek - klawisze, gitara basowa, śpiew
Anthimos Apostolis- gitara, klawisze
Frank Parker - perkusja /USA/

BILETY DO NABYCIA: "Verona Cafe" Janowska 4/8 tel. 833442020, Hotel "Capitol" Reymonta 3 tel. 833434995, Sklep "Music Audio" Janowska 11 tel. 833425747

SPONSOR GŁÓWNY: MULTIMEDIA Your IT Partner

PATRONAT MEDIALNY: TVP LUBLIN, jazz forum, pulsmiasta.tv, RADIO LUBLIN, tygodnik Podlaski, BIAŁA 24, radio Podlasie, WSPÓLNOTA, podlasie24, Życie Bialskie, Kraina Bugu, BIAŁA TV, Studio fotograficzne FOTO, radiobiper

SPONSORZY: rywal CENTRUM HANDLOWE, HOTEL Capitol, RAPID, AUTOSFERA, SAS, BIALCON, BUDOMEX, COMPUTER 3000, MAX - AUTO Jerzy Kuźmiuk, BIAPOL, Petrodom Venna Sp. z o.o. Sp. k., UNIQA, pec, ZAMEL, agencja reklamowa, GROUP PRESS, Sielska, MUSTANG, "WOD-KAN", Ela, MILO, TRIOMIX, pen press, BS, DRUKARNIA KWADRAT

POMOC W ORGANIZACJI FESTIWALU: AWF

Festiwal zrealizowano ze środków finansowych Urzędu Miasta Biała Podlaska, Starostwa Powiatowego w Białej Podlaskiej oraz sponsorów.